

PISMO DLA RODZIN.

№ 23. Warszawa, dnia 29 Maja (10 Czerwca) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 k. „
kwartalnie	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Letnie Wycieczki.

Czy w naturze ludzkiej leży pociąg do wędrówek, czy też chętki tej nabiera dopiero człowiek w pewnych okolicznościach— mniejsza o to—faktem jednakże jest, iż pragnienie jakiegoś odlotu, ruchu, zmian, nowości, jakaś koczownicza żyłka, odzywa się w nas pod rozmaitemi postaciami, skoro wiosna tchnie ciepłem i swobodą. Majówki, pobożne pielgrzymki — wyjazdy na wieś, do wód, za granicę — są to rozliczne przejawy jednej i tej samej potrzeby.

Pora letnich wycieczek nadeszła, i bierze nas ochota pogawędzić o nich z wami chociaż, co dla wielu z was stanie się zapewne rzeczywistością — dla.... wielu innych — pozostanie niestety, pobożnym tylko projektem, skazanym z góry na niedojście do skutku.

Nie sądźcie atoli że to zazdrość każe nam rok rocznie o tej samej porze moralizować na ten temat. Nie zazdrość to, uchowaj Boże, ale przekonanie że są sprawy, w których ponawiać się potrzeba z uprzykrzoną jednostajnością uderzającego młotka! — Taka już dola nasza, że chociażby nie jednego obrazić na siebie przyszło, musimy aż do skutku stawiać czoło bezcelowej gonitwie wiatru po dalekim świecie, musimy występować przeciwko zakorzenionej *podróżomanii*, której skutkiem... odwracanie oczu od interesów i potrzeb własnego kraju, ubolewające lekceważenie swojszczyzny, kosmopolityzm szerzący się ciągle, ruina wielu rodzin — i stąd straty ogólne a niepowetowane.

Każdy ma prawo dążyć do uprzyjemnienia sobie życia, a letnia wycieczka jest jedną z piękniejszych bodaj form zadawalania tej potrzeby — byleby nie była objawem owczego pędu, nałogiem i bezsensem. Człowiek myślący a uczciwy, szukać też powinien rozrywek rozumnych i uczciwych, a nad zabawę bezcelową przekładać taką, któraby przyjemne z pożytecznem łączyła — Nie tak u nas jest przecież po dzień dzisiejszy —

„Cudze chwalicie — swego nie znacie—
Sami nie wiecie co posiadacie"

powiedział kiedyś poeta, a ta gorzka wymówka dziś bodaj więcej jak kiedykolwiek może się do nas stosować.

Drogi żelazne — zagraniczne podróże, niegdyś zaledwo dla magnata dostępne, umożebniły dla osób średniej bardzo zamożności, i otóż kto w Boga wierzy, pędzi do Wiednia, Berlina, Paryża, Londynu aby.... zmarnować tam bez celu kawałek grosza — bądź zapracowanego ciężko, bądź co gorzej jeszcze zapożyczonego nieraz u lichwiarza żyda.

Że owe powierzchowne lustracyje cudzoziemskich stolic są rzuceniem czasu i pieniędzy *na marne*, jasne to jak słońce, gdy jednakże głos nasz nie zaważy u tych, którzy do tego przywykli a własne „ja" wyżej stawią nad dobro ogólne, zastrzegamy że pisząc o *wycieczkach letnich*, mamy na uwadze ludzi wyłącznie mniej górnego polotu: akademicką zaś i szkolną młodzież naszę przedewszystkiem.

Był już nawet czas, że młodzież ta praktykowała w czasie wakacyj podobne wycieczki, dziś przecież zatracono zupełnie ten dobry obyczaj.

Nie przestraszajmy się jednakże, nie żądamy bynajmniej, aby wesoło wędrująca gromadkę w ściśle jakieś naukowe przerobić towarzystwo. Nie o to wcale nam idzie — chcemy raczej zwrócić tylko uwagę, że przy dobrej woli i umiejętnem wzięciu się do rzeczy, obok przyjemności prawdziwej można wiele zrobić dobrego.

Nie znamy własnego kraju... Obcy nazywają nas niepraktycznemi, niezaradnemi a i my sami nawykliśmy już przyznawać sobie te wady — a właśnie są one niczem innem jak skutkiem nieznajomości ziemi rodzinnej. Nie wiedząc jakie ta ziemia na zewnątrz i wewnątrz skarby posiada, jakie ze skarbów tych są już zużytkowane, jakie płody są już przerobione w rękodzielniach, fabrykach, warsztatach, jak stoi handel i przemysł krajowy, cóż dziwnego że działamy po omacku, że popełniamy w skutku tego, szereg bolesnych omyłek, że tworzymy masy projektów nie mogących się urzeczywistnić, że padamy pod ciosami, których łatwo uniknąć można było?..

Źle jest że przyzwyczailiśmy się patrzeć bardzo daleko, a nie widzieć, co jest tuż koło nas, źle że mamy z kilkadziesiąt tomów dokładnych podróży po krajach obcych a z podróży po kraju własnym, kilka zaledwie urywków, do naprawy więc tego złego należałoby zabrać się energicznie i jakto mówią całą duszą. Letnie wycieczki umiejętnie organizowane mogłyby otóż z pewnością przyczynić się

do wypełnienia braku o jakim mowa — i to bez wielkich wcale zachodów. Mała oto, umiejętnie zorganizowana drużyna której uśmiecha się pełna drobnych przygód przechadzka, wybiera się w kilkunasto milową podróż i bada przebywaną okolicę — tak pod względem historycznym, jak przyrodniczym, przemysłowym, handlowym, komunikacyjnym i t. d.

Zebrane w ten sposób wiadomości, uporządkowane następnie ogłasza drukiem. Z początku nie robią one żadnego wrażenia, owszem uważane są za rzecz niepotrzebną nudną i oklepaną pomału,—jednakże dobry przykład oddziałać musi — i musi zwrot ku rzeczom krajowym w publiczności naszej wywołać. Wiadomości te staną się też cennym materyjałem do opisu kraju, do ułożenia odpowiedniej książki, z razu również bardzo może niedokładnej nawet i wadliwej, ale dającej rękojmię, że gdy pierwsze lody złamano, możemy przyjść do wybornego podręcznika, obznajmiającego z każdym szczegółem krajoznawstwa — bo zawsze początek tylko jest brudny.

Obyśmy zachęcić mogli młodzież naszę do tego pożądanego początku. A rzecz to łatwa i nie kosztowna. Dojeżdżając do głównych punktów kraju,możnaby bo w wesołej drużynie *per pedes apostolorum* zwiedzać okolicę miejscową.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Któżby mógł być takim egoistą!

— Są ludzie, którym się zdaje, że to zrobić można!

— Któżby to mógł być? powiedz mi pani!

— Babunia....

— Babunia chce, abym wybierała rozumem i rozsądkiem — choćby bez serca!

— Bez serca?... Nigdy bym tego pani nie radził.

— Zbieg okoliczności i namowa może czasem zmusić kobietę do oddania swej ręki bez serca. .. ale powiedz mi pan, czyż to może być szczęściem?

— Dla czego o tem pani do mnie mówi? zapytał z rosnącym niepokojem Karol.

— Mówię dla tego, że ja w takim razie byłabym bardzo nieszczęśliwa i drugiemu przyniosłabym także nieszczęście!

Twarz Karola zbladła.

— Więc serce pani... zapytał zmienionym głosem.

— Serce moje już wybrało — odparła namiętnie Salomea i zakryła oczy — a babunia każe mi jeszcze raz wybierać!

— Serce pani wybrało...

— Chcesz pan zapytać kogo?.... Pana Floryjana!

— Pana Floryjana! powtórzył aplikant jak automat.

Kilka chwil zapanowało milczenie. Salomea stała z rozognioną twarzą. Pierś jej podnosiła się wysoko, oczy paliły się jakiemś przyjemnem uczuciem. I w samej rzeczy była teraz z siebie zadowoloną. Przebyła wielkie niebezpieczeństwo, które groziło wybranemu jej sercu i miała odwagę obronić go.

Karol stał kilka chwil w milczeniu, jakby jeszcze dobrze nowej swojej sytuacyi nie objął. Wkrótce jednak zarumieniła się twarz jego, koło ust zarysował się lekki cień boleści.

— Więc wybrałaś pani pana Floryjana — ozwał się z uśmiechem — nie wiem, jaką rolę przy tem wyznaniu przeznaczasz pani dla mnie?

— Bardzo ważną rolę panie Karolu — rzekła Salomea biorąc za rękę aplikanta — bardzo ważną rolę, bo rolę.... pośrednika między mną a babunią!

— Pośrednika? powtórzył Karol z ironiją.

— Tak jest.... za pośrednika proszę pana, jeżeli tego będzie potrzeba. Babunia pana wysoko ceni i szanuje — w wielu rzeczach jesteś pan dla niej wyrocznią, nawet kocha pana jak wnuka swego... otóż przy takiem stanowisku, gdyby tego wymagała potrzeba — możesz pan wiele rzeczy babuni wyperswadować! Obiecujesz mi pan to?

Karol stał teraz blady i miał usta zaciśnięte. Zrozumiał rozmowę Salomei i wiedział do czego dąży. Potrzeba było utrzymać się w roli narzuconej, chociażby z jak największem wysileniem.

Nabrał w pierś powietrza jak najwięcej, oparł się o fotel, aby się nie zachwiał i odparł z wymuszonym spokojem:

— Jeżeli pani tej przysługi odemnie żądasz, to bądź przekonaną, że pan Floryjan będzie miał we mnie jak najlepszego pośrednika!... Szczęście pani kładę przedewszystkiem, a nawet — przed samym sobą!

Karol wymówił te słowa z dziwną wibracyją głosu, ale miał na tyle męzkiej siły, że przemógł sam siebie i żadnych dalszych wynurzeń swojej miłości nie wypowiedział.

Serce Salomei o mało nie pękło z radości, że grożąca sprawa oświadczenia zakończyła się tak świetnie. Uratowała, jak się jej zdawało, przed burzą klejnot swój drogi — i zyskała jeszcze szlachetnego sprzymierzeńca...

Z szaloną namiętnością podała Karolowi obie ręce i nie słyszała wcale jakim głosem tenże ostatnie słowa swoje wymówił! W tej bowiem chwili, jakby po długiej dobrze obliczonej pauzie — ozwały się znowu tony wiolonczeli. Była w nich jakaś nadziemska radość, jakiś tryumf i pogoda... Wznosiły się powoli do poważnego hymnu, którym prawdopodobnie dziękował artysta panu Bogu za szczęście swoje...

Tak sobie te tony wytłumaczyła Salomea.

XVII.

Miasto powiatowe od ostatniego skandalu pani komisarzowej, która z nieznajomym bohaterem, od męża w świat uciekła, było tak

---

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

X.

Są pesymiści, którzy narzekają na zbyt powolne tętna cywilizacyjnych popędów ogółu naszego. Patrzą oni na młodziutkie i poczciwe społeczeństwo przez czarne okulary chorobliwej mizantropii. Nic więc dziwnego, że jasno zielone barwy młodzieńczości przedstawiają się im w ciemnych i ponurych kolorach. Gdyby zechcieli gołem okiem przypatrzyć się szlachetnym obrazom życia naszego, gdyby umiejętniej badali urocze objawy naszej duchowości, ujrzeliby tam wiele pięknych i pocieszających rzeczy.

Przedewszystkiem, łaskawi panowie, zarzucacie nam brak inteligencyi. Tymczasem z łatwością dowieść możemy, jak fałszywe jest w tym względzie mniemanie wasze. Jeżeli prawidłowość rządząca tym światem, udzieliła wam odrobinę wrodzonej ciekawości, jeżeli mozolne kłopoty praktycznego życia dozwoliły zapoznać się choć trochę z pewną sferą badań naukowych, to wiedzieć zapewne musicie iż jednym z wybitnych dowodów rozwoju inteligencyi ogólnej w społeczeństwie jest pewna charakterystyka ujemnych popędów ducha ludzkiego. Tak uszlachetnionym występkiem jest kradzież i oszustwo. A czyż brakuje nam pięknych objawów tego rodzaju?... Zaiste, społeczeństwo, które piastuje w swem łonie kilkoletnich zwolenników praktycznego komunizmu, nie można nazwać zacofanem. Górą postęp!... Niech żyje Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych!... Cóżby to była za hańba, gdybyśmy nie byli zdolni dostarczyć mu dostatecznej liczby adeptów!..

Drugim równie pięknym objawem rozwoju jest dbałość pewnych jednostek o dobro ogółu całego. Nie dość jest myśleć o materyjalnych potrzebach społeczeństwa, o marnych sprawach ciała!... Szlachetni obywatele zwracają baczną uwagę na inne wznioślejsze sprawy. O moralności, oświacie i t. p. sprawach pisano już wiele. Jedna tylko kwestyja została po macoszemu najniesłuszniej pominiętą. Lecz na cześć i sławę naszę, na pożytek teraźniejszości i przyszłości z grona prawdziwych kapłanów idei powstał mąż wielki, który zaznaczył nader skromnie swą osobistość literą D. w szpaltach Kuryjera Codziennego. A wiecie, czego chce p. D. Oto rzuca on myśl czy nie znalazłyby się osoby kompetentne, któreby ułożyły *kodeks codziennego postępowania w stosunkach towarzyskich?...* Nie wiemy w jakiej sferze szanowny projektodawca pragnąłby szukać tych osób kompetentnych, i jaki winien być, podług jego mniemania, charakter tego kodeksu! A rzecz to nader ważna. Otóż my ze swojej strony radzilibyśmy udać się na wszystkie tak nazwane górki warszawskie, do wszystkich szlachetnych zakładów, gdzie złote i pozłacane szyki tracą daremnie wolne chwile życia... Wartoby te młode, a pełne zapału siły zapędzić do jakiej pożytecznej pracy. A o kompetencyi tych mężów nawet powątpiewać nie śmiemy. Dalej należy udać się do buduarów pięknych dam wielkie-

spragnione jakichś nowych wzruszeń, że jeszcze tego samego dnia spożytkowało należycie zaszłe zdarzenie w białym dworku.

Zdaje się, że nieoględny kasyjer sam dał powód do wynurzenia się na szerszy świat tajemnicy familijnej.

W pół godziny po rozmowie Salomei z Karolem biegł czerwononosy asesor pędem do radcy i opowiedział mu z wszelkiemi szczegółami cały przebieg niefortunnego oświadczenia się aplikanta. Śmiał się asesor z aplikanta, który pod nosem nie widział rywala i uzupełnił całą tę historyją swojmi własnymi konceptami. Żona radcy słuchała z pewnem rozczuleniem powieści o nieszczęśliwym aplikancie — mimo to zauważył złośliwy czerwonos, że panna Kamila, druga z rzędu corka państwa radcowstwa, wysłuchawszy tej historyi wyszła do salonu i tam coś wesołego nucić zaczęła półgłosem. Widocznie była w dobrym, a nawet niezwykłym humorze — a dawniejszy asesor, który w teatrach amatorskich grywał czarne charaktery, zarzucił jej z całą powagą brak litości chrześcijańskiej, jaką winniśmy nieszczęśliwym bliźnim naszym.

Prawie o tym samym czasie biegła pani aptekarzowa do poczmistrzowej i zdążywszy bez szwanku do fotelu, opowiedziała od jednego tchu całą katastrofę jaka według najlepszych źródeł miała zajść w białym dworku na przedmieściu. Ulżyła sobie przy tem wypowiedzeniem kilku prawd gorzkich o nieobecnej Rabsztyńskiej, która nie będąc ani żoną aptekarza ani poczmistrza, poważyła się nos do góry nosić, jakto tylko przystało pewnym uprzywilejowanym znakomitościom miasteczka.

Nawet stary organista z trądem na twarzy ujął się za byłym swoim uczniem i dosyć długą mówkę palnął sobie w szyneczku „pod dzwonem“ przeciw wszystkim gryzipiórkom, którzy po papierze orzą! Według niego taki aplikant nie dorósł nawet do kościelnego, a cóż dopiero mówić o człowieku, który grał na koncercie z panną starościanką?...

Niepośledniej wagi był biuletyn notaryjusza, jaki przy szklance „Feneczynka“ złożył do ucha swego przyjaciela, doktora powiatowego. Według tego biuletynu wpadł do niego Karol jak szalony i zabrał z biurka papiery, które miał na jutro wygotować. Notaryjusz widział wyraźnie, jak mu jakiś dziwny płomień z oczu strzelał, jak ręce jego drżały a nogi się krzywiły. Potem wypadł nieszczęśliwy aplikant jak opętany do sieni, i zamiast iść na prawo do domu, poszedł na lewo po nad rzekę, gdzie właśnie utopił się niedawno chłop, którego lichwiarz do ostateczności doprowadził. Aplikant na kilka dni przedtem długo rozmawiał o tym chłopie, a nawet łzy miał w oczach. Być więc może, że w przystępie nieszczęścia, przyszedłszy na to miejsce, gdzie chłop.....

Reszty niedopowiedział notaryjusz, bo doktór tak głośno z tego przypuszczenia roześmiał się, że nie było co kończyć.

Sąsiedzi zaś starego kasyjera opowiadali, że kasyjer wróciwszy z miasta do domu a zastawszy tam Karola ryknął jak bóbr płaczem i byłby na całe gardło płakał, gdyby kasyjerowa nie była mu kraciastą chustką gęby zatkała. Dziwna rzecz, że kasyjerowa przyjęła tę wiadomość obojętnie, a nawet z uśmiechem...

Słowem, wzruszenie było powszechne w mieście i za kilka godzin nie było nikogo, ktoby o tem nie wiedział, nie mówił i tego co słyszał własnym konceptem w szczegółach nie uzupełniał!

Przy takiem zainteresowaniu się miasta powyższem zdarzeniem nie mógł także pozostać spokojnym główny bohater.

Grał na wiolonczeli do samego zmroku. Nie wiedząc o wypadku rozmowy był pewny że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie! Gwiazda szczęścia zabłysnęła nad jego głową, a gdy szczęście to było w niebezpieczeństwie pobiegł na ratunek... ale zastał przed sobą drzwi zamknięte!

Babunia nie przyjęła go!... Cóż stąd wnosić?... O to że Salomea kocha go — że niechce iść za innego — że babunia odmawia mu — że obawia się wpływu jego obecności! dla tego zamknęła mu drzwi przed nosem!

Co za dziwna sytuacyja! Sam niewiedział, że Salomeę tak gorąco kochał! Potrzeba było tak dramatycznej sytuacyi, aby się o tem przekonać!... On ją tak kocha, on bez niej żyć nie może... on ją musi mieć... musi ją wyzwolić z tych sideł szatańskich, któremi aplikant z babunią ją obmotali... on musi chociażby nawet poświęcić się dla niej i jak drugi Orlando furioso.....

Ale te drzwi przeklęte! Babunia zamknęła je! Tak — ale ona mnie kocha! myślał dalej Floryjan wybierając wysokie tony na najgrubszej strunie — ona mnie musi kochać! Ona już jest moją niewolnicą!

I wesoła piosenka wymknęła mu się z pod palców. Dla urozmaicenia jednak tak jednostajnych myśli przypuścił artysta, że Salomea da się przekonać babuni, i że pójdzie za aplikanta oddając mu w doczesne używanie biały dworek z ogrodem i kamieniczkę w mieście.

Na taką myśl bezbożną zadrżał Floryjan. Nauczony żyć samą wyobraźnią wyobraził sobie w oka mgnieniu całą odwrotną sytuacyją. Widział Salomeę wiarołomną idącą do ołtarza, słyszał słowa przysięgi w głównej nawie kościoła, a z chóru brzmiał ochrypły śpiew organisty, którym były nauczyciel jego do dzieła szatańskiego, na pomoc przyzywał świętego ducha!...

Floryjan zadrżał na widok takiego nieszczęścia. Bluźnił Bogu, bluźnił ludziom, że mu tak cierpieć każą, podczas gdy on cały świat z taką miłością do serca chciałby przycisnąć!...

Im prawdopodobniejszą była strata Salomei, dworku i kamieniczki, tym więcej, tym goręcej kochał niewdzięczną, tym skorszym był do wszelkich poświęceń!...

A tymczasem zapadał zmrok coraz grubszy, coraz większe cienie otaczały tajemniczy dworek, do którego w razie potrzeby mógłby szturmować... gdyby babunia nie była drzwi przed nim zamknęła.

Nie mogąc bronionej fortecy wziąć szturmem doraźnym, postanowił Floryjan opasać

---

go świata, a stamtąd również zaczerpnąwszy wiele pouczających prawideł zwołać nareszcie ogólne zebranie płci obojga, na którem po właściwych dysputach ułożone zostaną wszystkie paragrafy wiekopomnego kodeksu.

Skoro władza prawodawcza ukończy swoję pracę, należy przystąpić do urządzenia władzy sądowej i policyjnej, gdyż, jak głoszą wszystkie prawodawstwa ucywilizowanych ludów, każde prawo winno pozyskać sankcyją wykonania. Otóż policyja może być urządzoną również ze złotej młodzieży płci obojga, a władza sądowa z poważnego areopagu podupadłych donżuanów i zbankrutowanych piękności *grand* i *demi-mondu* naszego.

Kary winny być bardzo surowe. I tak: najlżejsza dla dam ucięcie tylnej ozdoby, którą prozaiczne dusze nazywają ubliżającem mianem *ogona*, dla mężczyzn—bezzwłoczny zakaz na pewien czas zadawania szyku umyjącą garderobą lub szlachetną postawą i obejściem. Dalej następować winien cały szereg kar głównych i poprawczych, z których najcięższą będzie dla mężczyzn—zabronienie wstępu do najszlachetniejszych zakładów, gdzie rozwijają swój piękny gust i podniosły pogląd na życie; a dla kobiet — rozkaz przestudyjowania jakiego poważnego dzieła naukowego. Sądzę, że podobna surowość kar przy nieodwołalności ich wykonania będzie dostateczną rękojmią, że wszystkie paragrafy kodeksu codziennego postępowania w stosunkach towarzyskich będą należycie wykonywane przez dobrze urodzonych i elegancko wychowanych obywateli grodu naszego.

Trzecim objawem zbawiennego wpływu oświaty na rozwój społeczności naszej jest szeroko rozwinięta emancypacyja kobiet. Czcigodne niewiasty nasze nie biorą tej kwestyi zbyt głęboko teoretycznie, lecz zadawalniają się praktycznemi formami życia. Lekka ta, że się tak wyrażę, emancypacyja, przedstawia się niekiedy w uroczej bardzo formie. Główną areną, na której się rozwija jej działalność, są boczne aleje Ogrodu Saskiego. Spoczywając niedawno na jednej z odległych ławek, miałem przyjemność sąsiadować w towarzystwie przyjaciela z pewną uroczą nimfą, która ułożywszy w nader malowniczy sposób niezbyt ulotne wdzięki swoje, puszczała z należytą dystynkcyją gęste kłęby dymu tytuniowego. Częsty kaszel dowodził, że szanowna emancypantka nie była przyzwyczajoną do tego rodzaju przyjemności, lecz czyniła to jedynie z instynktu wrodzonego pewnym istotom organicznym, które papa Darwin uważa za najbliżej spokrewnione z człowiekiem.

Towarzysz mój, wyjął pudełko papierosów, i z należytą uprzejmością zwrócił się do nadobnej sąsiadki z prośbą o ogień. Emancypantka udzieliła go z pewną niechęcią. Po chwili, zwróciwszy się do milczącego młodziana, rzekła z oburzeniem:

— Panie, w Ameryce jest zwyczaj, że mężczyźni, prosząc o ogień, wprzód przedstawiają się kobiecie!

— Ale w Patagonii, łaskawa pani, nie ma tego zwyczaju!—odrzekł z należytą przytomnością ducha zagadnięty.

Nie wiem, czy szanowna dama uważała ten argument za zupełnie zaspakajający, czy też nie umiała nam w tej chwili odpowiedzieć,

ją do koła czujnemi krokami swemi i pilnie śledzić, co się wewnątrz dzieje.

Gdy już noc ciemna nastała a w dworku światła się pozapalały, wyszedł cicho ze dworku i ostrożnie podszedł pod ostrokół, otaczający ogród.

Stamtąd patrząc w oświecone okno widział wewnątrz dziwne rzeczy, których sobie nie mógł dobrze wytłómaczyć.

Babunia chodziła po pokoju niezwykłym krokiem. Machała rękami na wszystkie strony a otworzone usta zwracała często do kąta, gdzie stała Salomea.

W kącie między fortepijanem a drzewem figowem stała Salomea w postawie podsądnej, której właśnie wyrok ogłaszają. Miała włosy rozpuszczone, oczy zapłakane a lewą rękę przyciskała do piersi, jakby tam ból w tej chwili czuła. Od czasu do czasu odpowiadała babuni, przy czem z pokorą głowę do ziemi spuszczała.

Trwało to czas niejaki. Potem babunia nagle usiadła na fotelu, a Salomea wypadła szybko z owego kąta aby babuni głowę przytrzymać. Zjawiła się i służąca która po kilku słowach wybiegła szybko na ulicę. Salomea tymczasem uklękła przed babunią i płacząc przycisnęła twarz swoję do jej łona. Po niejakim czasie widział Floryjan przechodzącego przez ulicę doktora, który szybko do dworku wkroczył.

Co się dalej działo, nie mógł już Floryjan wiedzieć, bo służąca zapuściła firanki. Domyślał się tylko, że babunia dostała ataku — a domysł ten zaczął znowu zmieniać jego sytuacyją.

Salomea mogła zostać teraz zupełną sierotą bez żadnej opieki na świecie. Obowiązkiem jego było zostać opiekunem tak pięknej sieroty i wziąć w rozumną administracyją dworek, ogródek i kamieniczkę w mieście!

Pogrążony w takich nowych marzeniach i obawach obszedł kilkanaście razy cały dworek do koła wraz z ogródkiem, patrząc pilnie w ciemności nocy. Cienie niewyraźne drzew i dachów rozogniały jego wyobraźnię i tworzyły przed jego wzrokiem, dziwne, nieczytelne obrazy!....

— Gdyby mnie Salomea rzeczywiście kochała, — rzekł do siebie przeskoczywszy po raz szósty rów głęboki, który był tuż pod oknami dworku — gdyby mnie rzeczywiście kochała, to by wyszła teraz z dworku, aby mi powiedzieć co się stało i co się tam dzieje. Przecież powinna przeczuć, że ja tu niespokojny stoję i wyjaśnienia czekam... Ale ja nieszczęśliwy może napróżno się łudzę... może marzę o rzeczach, które już stały się niepodobne!... Przecież powinna choć okno odsłonić, choć na chwilę twarz swoję przyłożyć do szyby, aby spojrzeć na domek przeciwległy!... Albo wreszcie wysłać służącą z wiadomością, nie — z małą karteczką!... Ach, z jaką rozkoszą czytałbym te drobne zygzaki... Ale ona mnie nie kocha!

Floryjan przeskoczył rów napowrót.

Rów ten zielonkowatą wodą napełniony, zaludniony zielonemi żabkami był w tej chwili dla niego symbolem niczem niezapełnionej przepaści, która jak fatum złowrogie miała go oddzielać od Salomei. Marzenia więc jego i obawy stosowały się zawsze do brzegu rowu, na którym się właśnie znajdował.

— Tak, ona mnie nie kocha! mówił teraz do siebie —perswazyje, namowy babuni, wszystko przemogły! Wszystko co było szlachetne, piękne i wzniosłe rzucono w kąt, a na pierwszym planie położono przyszłe zaszczyty i dostatki.... To zwykłe dzieje serca kobiecego!

Przypomniał jednak w tej chwili sobie, że aplikant nie ma w zanadrzu ani zbyt wielkich zaszczytów ani dostatków w perspektywie i że od niego powyższe niebezpieczeństwo wcale nie zagraża.

Uczuł w sercu lepszą nadzieję, a przekonawszy się, że Salomei takim porządkiem wielką krzywdę wyrządził, zebrał w okamgnieniu wszystkie swe siły i napowrót — rów przeskoczył.

— To być nie może! Ona mnie kocha — rzekł teraz do siebie — i byłaby dawno wyszła do mnie, gdyby coś jej w drodze nie stanęło!....

I znowu rozpoczął przechadzkę w koło dworku i ogródka. Za każdym krokiem rozgrzewała się coraz więcej jego wyobraźnia. Gdyby Salomea wyszła teraz do niego... w białej powiewnej szacie.... z włosami rozpuszczonemi.... i z tym gorącym oddechem, jakim zazwyczaj wymawiają się słowa wzajemnej miłości... gdyby choć z daleka ukazała się na ciemnym widnokręgu jak białe widmo... z otwartemi ramionami.... ach ileż uroku, ileż poezyi miałby taki widok?...

Floryjan rozgrzewał się coraz więcej do tego widoku, coraz uważniej patrzał w ciemną przestrzeń pomiędzy drzewami a ostrokołem, coraz więcej zaostrzał słuch swój, aby lada szelest listka pochwycić i z niego coś sobie obiecać... gdy nagle lekki chrząst suchych liści zwrócił w jednę stronę całą jego uwagę. Wspiął się na palcach, aby przez ostrokół dalej zajrzeć do ogrodu.

Przeczucie i rozumowanie nie omyliło go.

Na kilkanaście kroków przed nim pojawiła się rzeczywiście jakaś postać kobieca.

Floryjan odkrząknął lekko, aby jej kroki do siebie skierować.

Wywarło to przeciwny skutek. Postać kobieca zatrzymała się nagle na ten głos, a nawet cofnęła się o dwa kroki.

— Kto tam? zawołała głosem pewnym, który wcale niebył podobny do głosu kochanki zbliżającego się do kochanka.

— Czy pani niepoznaje? zapytał półgłosem Floryjan.

— Ach!... To pan panie Floryjanie? odpowiedziała postać i szybko zbliżyła się do ostrokoła.

Była to Salomea. Nie miała wprawdzie ani szaty białej powiewnej, ani włosów rozpuszczonych. Całą jej postać okrywał czarny szal a na głowie miała również ciemną chusteczkę niedbale zawiązaną. Bynajmniej nie można było wnosić z tego stroju że wyszła na schadzkę miłosną. Mimo to z widoczną radością zbliżyła się do Floryjana.

---

gdyż zamilkła zupełnie. Gęstsze tylko kłęby dymu, które w kształcie obłoków unosiły się nad niebiańską postacią tej bogini, dowodziły pewnego wzruszenia moralnego. Po chwili jednakże zwróciła się znowu do nas, przemawiając już łagodnym i serdecznym głosikiem.

— Czy panowie uważają za złe, jeżeli kobieta pozwala sobie pewnych przyjemności, które kodeks obyczajów naszych tylko dla mężczyzn przeznacza.

— O nie, pani! — odrzekłem, wyręczając towarzysza mego—ale stosuję to tylko do prawdziwych, rzeczywistych potrzeb życia.

— Jakto, nie jesteś pan zwolennikiem bezwzględnej emancypacyi?...

— Owszem pani, jestem zwolennikiem wyzwolenia kobiet, ale prawa jej wskazywać winny jedynie potrzeby ekonomiczne i prawdziwie humanitarne. Zresztą i w sferze drobnych obyczajowych form zrobiłbym wiele ustępstw. Nie miałbym nic np. przeciwko paleniu cygar i papierosów, gdybym ich nie uważał w ogóle za *malum necessarium* dla osób, które się już przyzwyczaiły do tej szkodliwej przyjemności. Ale wszelkiego rodzaju fanfaronowanie uważam za niewłaściwe, tembardziej, jeżeli w tej tylko formie ma się objawiać podniosła idea emancypacyi kobiet.

Długo w taki sposób gawędziliśmy z towarzyszką, która nabrawszy zwolna dobrego humoru, obdarzała nas prawdziwemi brylantami dowcipu i wesołości. Z rozmowy tej wyprowadziłem tylko ten niezbyt pocieszający wniosek, że niektóre z niewiast naszych uważają pewną sferę formułek obyczajowych za przynależne sobie prawa, a kwestyją pracy i nauk za uciążliwy obowiązek, który okrutni mężczyźni pragną zwalić na ich słabo barki dla ulżenia sobie zbyt wielkiego ciężaru. Smutna emancypacyja!... Lecz, dzięki Bogu, tego rodzaju mniemania, znajdują już u nas coraz mniej zwolenniczek, a zwolna... zwolna może i poważne myśli zakołaczą do nadobnych główek dziewic i matek naszych.

Tymczasem cieszmy się tem, czem nas niebiosa obdarzyły, i spieszmy oglądać prawdziwą już emancypantkę. Mamy tu na myśl *Mademoisell Marie*, która była tyle łaskawą, że przywiozła nam na pokaz olbrzymie wdzięki swoje. Jak wiele zaś ceni takowe, dowodzi jasno wygórowana płaca za wejście do tajemniczego sanktuaryjum, gdzie się znajduje ta zagraniczna bogini. Wprawdzie, uwzględniając potrzeby młodocianego wieku, szanowna rywalka pięknej Flory raczyła ogłosić, że dzieci płacą połowę ceny, ale, niestety, podług starych i nowych teoryj pedagogicznych anatomija nie wchodzi w zakres elementarnej wiedzy, i dla tego zapewne rodzice i opiekunowie nie zbyt skwapliwie pospieszą na okazanie tego cudu natury małoletnim pupilom swoim...Niech żyje anatomija i...fizyjologija!...

Słyszeliśmy, że podobno pulchnej dziewicy nie tęgo się u nas powodzi. Prozaiczna Warszawa nie zna się na tak niebiańskich wdziękach.

Drugim łaskawym gościem był u nas p. *Ruchwaldi*... Zaiste łzy... szczere łzy politowania ronimy nad losem nieszczęśliwego profesora. O ciemny narodzie! czyż prawdziwa, głęboka wiedza nie stanowi żadnej dla ciebie przynęty, czyż z zimną obojętnością mogłeś pozwo-

Przedzielona od Floryjana ostrokołem wysokim i dosyć gęstym była teraz podobną do zakonnicy, która tylko przez kratę może z zewnętrznym światem rozmawiać.

W pierwszej chwili usiłował wprawdzie Floryjan przełamać tę zaporę zakonną ale wszelkie usiłowania były nadaremne. Ostrokół był za wysoki aby go przeleść, a za gęsty aby się pomiędzy koły przecisnąć. Pozostał więc za tą furtą klasztorną, za którą był jeszcze żywy płot z róż, który miał go przedzielać od Salomei.

— Co pan tu robisz? zapytała Salomea, przystępując ostrożnie do żywopłotu z róż kolczastych.

— Jak możesz pani pytać o to? odparł Floryjan i sięgnął ręką przez ostrokół, aby Salomei dłoń uścisnąć.

Natrafił na kolec róży i cofnął rękę.

— Prawda! odpowiedziała szybko Salomea, ale niespodziewałam się pana tu zastać!

— Powiedz mi pani, co się dziś stało nad wieczorem?... będzie to dla mnie ważnym wyrokiem!

— Pan Karol oświadczał się o moję rękę.

— I jakąż odpowiedź otrzymał?

Przy tem zapytaniu zatrzeszczał ostrokół pod rękami Floryjana.

— Jaką odpowiedź dostał?... niech się pan domyśli, jeżeli to pana obchodzi! rzekła Salomea z lekkiem westchnieniem.

— Że mnie pani obchodzisz — wiedziałaś przecież o tem...

— Mogłam tylko przeczuwać.

— Przeczucie nie omyliło pani... Kocham panią całą duszą!

Kolczasty żywopłot zaszeleściał znowu. Tym razem nie jedna ale dwie ręce starały się przebyć go..... Jednej tylko udało się ominąć ciernie — druga z bólem cofnęła się do ostrokołu.

d. c. n.

Do kobiety!

Kobieto! — cudny tworze przyrodzenia dłoni!
Niegdyś z cierni koronę nosiłaś na skroni,
I dłoń twą skuły niewolnicze pęta,
A świat nad tobą zawołał: „przeklęta!"

Później w niebiańskie obleczona szaty,
Królową stała się wzgardzona branka,
Na czole cnoty zabłysły szkarłaty,
A świat zawołał: — „To niebios zesłanka!"

Dziś, zgasł blask nieba na licu świetlanem,
Więc myślą nie goń za rajem dalekiem,
Bo dawniej byłaś aniołem, szatanem,
A dzisiaj.... świat cię nazywa *człowiekiem!*...

O domowego ogniska boginie! —
O matki ludów! — świat na was spogląda!
Nie łzawych uczuć, lecz potęgi żąda,
Duch wasz niech skrzydła do lotu rozwinie,
I gdzie myśl wieku nowe tory kreśli,
Kierujcie wasze uczucia i myśli!

Kobieto, łzami zroś tę świętą ziemię,
Co chętnie bratnie podała ci dłonie,
Niechaj czyn ziemski uwieńczy twe skronie,
A pieśń niebiańska w duszy nie zadrzemie!

Zdejm z ciała swego przepyszne szkarłaty,
A wdziej powszednie pracownika szaty,
I wstąp w szeregi tych kapłanów grona,
Co bratnią niwę roszą pracy łzami,
A świat zawoła: — „O błogosławiona! —
Ty plon obfity spożyjesz wraz z nami!"

1874 r. *A. Pilecki.*

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy)

Jeszcze na początku tego stulecia (1806) były ślady warowni murowanej za Trojecką górą, na przedmieściu Komorówce, na wyspie, którą niegdyś oblewało jezioro, a dziś bagnisko. Z tego to ostatniego w r. 1806 wydobył ówczesny dyrektor gimnazyjum Piotr Ceys kilka rzadkich zabytków bronzowych, a między innemi pięknej roboty figurę Faustulusa pasterza.

Jeszcze w r. 1780 widoczne były ślady okopów, gdyż dawniej całe miasto było okrążone wałem usypanym z ziemi. Okopy te zrujnowane w części w czasie wojny z Karolem XII szwedzkim, ocalała tylko najwyższa reduta (od rogatki Borysowskiej), w której przypadkiem studenci wykryli zakopanych i zagwożdżonych 6 armat.

We władaniu miasta jest 5,564 dziesięcin ziemi, domów przeszło 2,200, w środku miasta i w główniejszych ulicach wyłącznie murowanych. Prawie środkiem miasta płynie Swisłocz. Położenie miasta bardzo piękne. Kilkakrotnie w dzisiejszem już stuleciu uległo pożarom strasznym, ale po ostatnim odbudowało się ładnie. Magazynów, kramów, składów handlowych liczą z górą 800. Ludność w roku 1870 wynosiła 35,563.

Zasław, właściwie *Izasław*, między rzekami *Świsłoczą* i *Czarnicą*, niedaleko Mińska położony, w dzisiejszym Mińskim powiecie. Wspomnieliśmy już, że założenie tego grodu i księstwa Zasławskiego nastąpiło jeszcze w X wieku. Założycielem Izasława był Izasław syn Włodzimierza W. wielkiego księcia Kijowskiego i Rognedy, księżniczki Połockiej, córki Rogwoloda. Niektórzy historycy usiłują przekonać, że założenie Zasława nastąpiło daleko później i że założycielami byli książęta Zasławscy, którzy rzeczywiście posiadali Zasław na Wołyniu. Twierdzenie to opierają (M. Baliński) na tem, że jedna z Zasławskich w XVI wieku wyszła za Jana Hlebowicza i wniosła mu Zasław Miński. Twierdzenie to nie ma podstawy. Książęta Zasławscy na Wołyniu powstali zaledwo w XV wieku, gdy Wasil Fiodorowicz Ostrogski książe na Ostrogu, Zasławiu, Dubnie i wielu innych grodach (nawet czas jakiś na Łucku), podzielił swe włości między synów Jerzego i Iwana: z tych tedy

---

lić na to, żeby wielki kapłan brunatnej jak się dowcipnie wyraził pewien felijetonista, magii, odjeżdżał od nas z pustą kieszenią i zbolałem sercem! Czy dusze wasze tak twarde, czy kieski tak puste, że nawet prawdziwa wielkość nadaremnie do nich pukała?!... W każdym razie z niecierpliwością oczekiwaliśmy na ostatni obraz tego dramatu, na wspaniałą scenę *ulotnienia się znakomitego profesora*, która zaiste była prawdziwie smutną i rozrzewniającą. A to wszystko dla tego, że nie ma u nas jeszcze gazet francuskich, któreby należycie zareklamowały wielkiego magika. O ciemnoto, ciemnoto!...

Ze sfery sztuki i nauki zwróćmy się do dziedziny dziennikarstwa naszego. Zdziwicie się może, że rozdzielamy te dwie sfery. Niestety, napróżno pukamy do naszego sumienia literackiego, ażali nie odezwie się tam jaki głos protestu! śpi ono najspokojniej... Ale przystąpmy do rzeczy.

Nie powitaliśmy dotychczas naszej znakomitości, która zabłysła na horyzoncie piśmiennictwa naszego; felijetonista nie złożył należnego hołdu nadobnej zapewne koleżance. Lecz pragnęliśmy wprzód bliżej przypatrzyć się nowemu meteorowi literackiemu. Zakwestyjonował on wprawdzie osobistość swą tajemniczym znakiem zapytania, kładąc obok niego smutne insignium: *requiescat in pace*, mimo to jednakże okazuje dotąd dosyć... zawiele może życia i jasnej treści. Gdybyśmy nie mieli przed sobą przedstawicielki płci pięknej, co zmusza nas do zachowania prawideł konwenansowej grzeczności, być może, że mimowoli z ust naszych wydarł by się pewien trywijalny wykrzyknik, o rozbijaniu się. Lecz zmuszeni do należnej galanteryi, powiemy tylko tyle: Łaskawa koleżanko, twórczość twa — to gwałtowny szturm do krainy dowcipu, który niekiedy wprawdzie bywa uwieńczony pomyślnym skutkiem, często jednakże prowadzi na niziny trywijalności i cynizmu. Jako dowód przytoczyć możemy następujący ustęp z jednego z ostatnich felijetonów twoich: „Braciom moim po mieczu i siostrom po kądzieli (bo jestem szlachcianką *czystej rasy* (?), na dowód zaś zawiadamiam was, że ojcu przed miesiącem jeszcze żydzi majątek zlicytowali (!!!), ofiaruję tę próbkę gramatyczno-sercowej lekcyjki, którą dwie dziko odziane (?!) synogarliczki, w towarzystwie grubej jak faska, a czerwonej jak burak mamusi, udzieliły lękliwej przyjaciółce i t. d."

W innem znowu miejscu wykwintna felijetonistka nazywa „Muchę" umierającą na *niestrawność*.

Niestety, łaskawa koleżanko, nasze żołądki umysłowe nie mogą strawić tak szczytnych konceptów, i niezbędne są przeciwko nim pewne środki prze.... Masz tobie, o małośmy się nie zbratali duchowo z felijetonistką Kuryjera Codziennego, która w przystępie dobrego humoru, głosi w formie niewinnego dowcipu, że „Warszawa liczyć zacznie erę zdrowego sensu i niespaczonych poglądów od chwili ukazania się na arenie dziennikarskiej panny (+?), ona zaś znajdzie męża, co ją ładniej niż rodzice ubierze." Miłoby nam było, gdyby ostatnie wyrażenie stanowiło pewną przenośnię, i zamiast o ubiorze ciała szanowna debiutantka literacka pomyślała raczej o wykwintnej

Jerzy dostał Zasław i zaczął mianować się księciem *Zasławskim*, Iwan zaś dostawszy Ostróg mianował się jak dawniej księciem *Ostrogskim*. Tak więc między Zasławiem na Wołyniu i Zasławiem pod Mińskiem nie ma nic wspólnego. Wiemy, że ogromne dobra ks. Ostrogskich przeszły w części do Radziwiłłów, inne zaś, jak również sławna ordynacyja Ostrogska przeszły do książąt Zasławskich, gdy córki ks. Janusza Ostrogskiego kasztelana krakowskiego, Eleonora wyszła za ks. Jana Radziwiłła kasztelana Trockiego, a Eufrozyna, *ostatnia z rodu Ostrogskich* za księcia Aleksandra Zasławskiego, i gdy ostatni powrócił do dawnego nazwiska: *Ostrogskich-Zasławskich*. Działo się to na początku wieku XVII; pod koniec tegoż wieku zgasła i rodzina Zasławskich, a ogromne ich bogactwa i sama ordynacyja przeszły do ks. Lubomirskich, z których Józef, marszałek koronny, był ożeniony z ostatnią Zasławską, Teofilą. Zdaje się, że niewłaściwe przypisywanie Zasławia Mińskiego ks. Zasławskim wołyńskim pochodzi stąd, że gdy w r. 1341 Olgierd z bratem Kejstutem złożyli z dostojeństwa wielkiego księcia litewskiego Jawnutę Gedyminowicza, brata swojego, wtedy oddali mu na dziedzictwo maleńkie księstwo Zasławskie (pod Mińskiem), następcy zaś jego mianowali się już książętami Zasławskimi. Tak więc były dwie familije książąt Zasławskich, na Wołyniu i na Białej Rusi — ale ani jedna, ani druga nie mają nic wspólnego z Izasławem Włodzimierzowiczem założycielem Zasławia pod Mińskiem.

Ślady dawnej wielkości Zasławia pozostały jeszcze w wałach zamkowych z ziemi usypanych, które na znacznej wysokości do koła otaczały zamek, rozległemi stawami oblany, z których woda do przekopów uchodziła. Zamek ten stał zaraz za miastem, lecz był jeszcze drugi zamek, w samem mieście, na ruinach którego wzniesiono z czasem kościół i klasztor Dominikanów. Sześciopiętrowa wieża gotycka kościoła, była wprzód jedną z baszt zamkowych. Mury te otaczają tak samo wały, z bramą forteczną, sklepioną.

Wspomniany Hlebowicz był gorliwym wyznawcą kościoła ewangelickiego. Kościół farny oddał on ewangelikom i założył drukarnię, w której w r. 1574 wyszła pod kierownictwem Daniela z Łęczycy Biblija Szymona Budnego, dziś należąca do rzadkości biblijograficznych. Sam Budny był tu czas jakiś pastorem i utrzymywał zbór socyniański.

W XVII wieku stali się właścicielami Zasławia Sapiehowie, a w XVIII Przeździeccy. Za naszych czasów opuszczona, nędzna ta mieścina była własnością rządową, a dziś podobno należy do urzędnika Chomentowskiego.

Kojdanów pamiętne dwoma bitwami z Tatarami, w których ci ponieśli straszną klęskę. Pierwsza w roku 1241 pod wodzą w. ks. Skirmunda, a druga w r. 1249, przez Mendoga odniesiona nad sprzymierzonemi wojskami Mongołów pod wodzą Kojdana i książętami Halickimi Danielem i Wasilkiem. — Był i tu zamek starożytny, na sypanym wzgórzu, przed tem *horodyszczu* wzniesiony. Zamek ten Radziwiłł Rudy, brat królowej Barbary, na kościół ewangelicki zamienił. Dziś tu starostwo rządowe. W pobliżu płynie *Uzdzienka*.

Przy drodze z Mińska do Nowogródka leżą *Stołbce*, z portem na Niemnie. Nędzna mieścina zaledwo trzysta kilkadziesiąt domów mieszcząca, ważnym wszakże nadzwyczaj mogła by być punktem handlowym. Przekonały o tem bowiem lata pamiętnej wojny krymskiej, kiedy komunikacyje lądowe były przecięte albo utrudnione. Wtedy to Stołbce odegrały ważną rolę, stając się punktem środkowym przywozowego handlu, skąd dopiero odsyłano towary Niemnem na statkach. W ciągu jednego roku miasteczko zakwitło i przeistoczyło się do niepoznania. Od razu stanęło do najrozmaitszych przedsiebierstw kilkunastu kupców pierwszej gildy, gdy przed tem nie było ani jednego, wzniosły się magazyny i składy ze zbożem, lnem, wódką i t. d.

Tak samo ważną rolę odegrał w tym czasie *Nowy Świeżeń*, gdzie pierwszy port na Niemnie, miejsce gdzie Niemen zaczyna być spławnym. Świeżeń tak samo jako Stołbce wzniósł się nadzwyczaj. Ale gdy wrócił normalny stan rzeczy, znikła chwilowa pomyślność tych miast. Wypadek ten jednak przekonał, jak ważne są te dwa punkta handlowe, gdyby stała parowa żegluga na Niemnie zaprowadzoną była.

Iwieniec nad *Wolszą*, niegdyś dziedzictwo Dowojnów-Sołłogubów, było dość znacznem miasteczkiem z klasztorem Franciszkanów i zborem kalwińskim. I dziś jeszcze liczy przeszło 2,000 mieszkańców.

Dubrowa, blisko Zasławia, dziedzictwo możnego rodu w tym kraju Hlebowiczów, od których po kądzieli przeszło do Sapiehów, a w końcu do Chmary, wojewody Mińskiego, w końcu przeszłego wieku *).

Borysów, dziś miasto główne powiatu Borysowskiego, nad *Berezyną* i *Schą*. Borysów, jak i cały ten powiat dokładnie opisany przez swojego marszałka, znanego chlubnie założyciela muzeum wileńskiego i znakomitego archeologa Eustachego hr. Tyszkiewicza, przy współudziale starszego brata jego również zasłużonego badacza hr. Konstantego. Nie ma ani jednego powiatu na Litwie i Rusi, który by zawierał tak dokładnie i starannie zebrane materyjały do historyi, statystyki i etnografii.

Założenie Borysowa, podług latopisów nastąpić miało w r. 1102 przez Borysa Wszewołodowicza, księcia Mińskiego. Były tu aż dwa grody, czyli zamki warowne. Jest tu jedna z najstarożytniejszych w tym kraju cerkiew grecka oraz kościół farny z XVII wieku. Starostwo Borysowskie posiadające lasy niezmierne należało do najbogatszych w kraju. Handel też znakomity prowadził Borysów i w dawnych czasach zbożem i lasem. Handel ten wzmógł się jeszcze, gdy w r. 1798, już za rządów rosyjskich przedsięwzięto utworzenie *Berezyńskiego systemu wodnego*, mającego na

*) Jest inna jeszcze Dubrowna, albo Dubrowa, nad Dnieprem, w gubernii Mohylewskiej, także Hlebowiczów.

---

szacie umysłowej duchowości i piśmienniczej produkcyi swojej.

Kiedy mowa o Kuryjerze Codziennym, przypomina nam się sprawa *konkursów dramatycznych*. Kwestyja ta ucichła jakoś, żadne prawie wieści nie dochodzą do żądnych nowin uszu felijetonisty. W każdym razie młodszy z konkursów urządził zapewne wielką wyprawę do Kolchidy, gdyż na czole błyszczy mu już ponętny napis: 480 rubli. Nie zła cyfra... Wsparty tak piękną daniną, zabłyśnie niebawem potężnym blaskiem duch naszej twórczości dramatycznej. Mój Boże, jaka to szkoda że nikt nie ogłosi takiego konkursu dla felijetonistów. Wartoby wesprzeć i tę ubogą rzeszę. Nie mówimy tu bynajmniej *pro domo sua* gdyż spokojny sługa wasz nie marzy nawet ani o laurach sławy, ani o bogactwach Kolchidy. Zostawia to bardziej zasłużonym kolegom...

Kiedyśmy zawadzili o nadobną szatę uroczej Melpomeny, poświęćmy jej jeszcze słów kilka. Najpopularniejszą bohaterką chwili obecnej jest zachwycające dziewczę nadsekwańskiej ziemi, noszące skromne miano „Córki pani Angôt.“ Przewędrowawszy wszystkie krańce ucywilizowanej Europy, na dobre zagościła ona teraz w naszym poczciwym zaścianku. Nie tylko Warszawa, ale i kraj cały składa jej hołd należny. Gdziekolwiek zwrócisz oczy widzisz imię tej bohaterki.

Jeden tylko p. Trapszo pragnął wyróżnić się z grona kolegów, i zamiast popularnej dziewicy przedstawił nam wykwintną „Fernandę“ p. Sardou. Wyobraźcie sobie wielką heroinę nizin społecznych,—postać, zlepioną z podejrzanych szmatek efektownych sytuacyj i błyskotliwych fajerwerków. A na shańbione jej czoło składa autor wieniec odrodzenia i miłości. Oto podniosłe wyżyny sztuki, oto majestat poezyi!...

Tymczasem opera francuska daje nam również niekiedy znane próbki Offenbachowskiej muzy. Tylko, niestety, okrutne rozporządzenie władzy poskramia artystyczny zapał biednego Kalchasa i całej wesołej dziatwy Hellady i Paryża, bo oto... o zgrozo!...kankan zabroniony. Czyż podobne krępowanie sztuki nie jest głosem, wołającym o pomstę do wyżyn Olimpu?!..

Olimp i Paryż oto dwie najcudowniejsze miejscowości, jedna na tamtym druga na tym świecie. „Paryżanie z gustu słyną,“ jak powiada papa Offenbach. W ostatnich czasach z frenetycznym prawdziwie zapałem przyjęli oni najnowsze dzieło muzycznej liry *Strausa* p. t. „*Królowa Indigo*.“ Pomijając samą kompozycyję, która ma być w samej rzeczy znakomitą, przytoczymy wam tylko nie tyle wykwintną, ile wysoce moralną i estetyczną treść libretta.

Pewna królowa, nazwiskiem Indigo, straciła męża, który pozostawił jej w spadku cały harem, napełniony znaczną kollekcyją doborowych piękności. Nie wiedząc, co robić z tak kłopotliwą własnością, pragnie ją sprzedać na targu publicznym. Lecz tu nie kończą się jeszcze kłopoty królowej. Serce jej pragnie coś więcej nad widok eunuchów i pałacowego blasku, wyrywa się gwałtem w krainę nie zbyt zresztą podniosłego erotyzmu! Ogląda się więc dumna monarchini pożądliwym wzrokiem naokoło i dostrzega wreszcie przedmiot

celu połączenie Bałtyku z Czarnem morzem. Dla połączenia ze sobą głównych rzek, urządzono kilka kanałów, a mianowicie: 1) *kanał Bereziński* albo *Serhuczewski* na przestrzeni $8^1/_2$ wiorst; kanał ten wykopany w celu ominięcia dolnej części rzeki *Serhucza;* 2) kanał łączący górną część rzeki Serhucza z jeziorami *Malec* i *Pławija;* 3) kanał łączący jezioro *Pławija* i *Bereszto* na przestrzeni około 8 wiorst; 4) połączenie jeziora Bereszto z rzeką *Bereszta* w górnej jej części do *Werebskiego kanału* i 5) Werebski kanał przekopany między rzeką Bereszta i *Essą* i *Ullą*. Pierwsza wpada do jeziora *Lepelskiego* w gubernii Witebskiej, a druga do *Dźwiny Zachodniej.*

d. c. n.

Listy z praktyki nauczycielskiej.

(ciąg dalszy)

Przybyłam sama na miejsce mego przeznaczenia. Zaraz poznałam że to jest t. z. „wielki dom.“ Ludno, dostatnio, świetnie dokoła i po pańsku. Dwór wspaniały, mnóstwo zabudowań, wykwintny ogród, wszędzie pełno służby.

Wskazano mi moje mieszkanie; przebrałam się pośpiesznie pełna niepokoju. Nic dziwnego że boleśnie odezwało się osamotnienie i trwoga w panience pierwszy raz mającej wystąpić między ludźmi, licząc tylko na siebie. Ubrana, krzątałam się niespokojnie, z biciem serca czekałam rychło wbiegnie do mnie która z moich przyszłych uczennic, lub kto z domowych. Pusto, cicho — każdy gwar co mię dolata niedomnie się odnosi. Smutną miałam godzinę jak ta o którą nikt się nie troszczy, której nikt nie czeka, nie wita. Służąca tylko z którą nie miałam ochoty wchodzić w gawędkę udzielała mi różnych wiadomości: że poprzedniczka moja była stara, brzydka i złośnica, że tu bardzo wesoło, że ciągle bywają goście i t. d. Wieczorem dopiero oznajmiła mi że pani prosi na herbatę, lub jeśli sobie tego życzę gotowa przysłać mi ją do mieszkania.

W sali gustownie umeblowanej zastałam znaną mi już panią domu zajętą przyrządzaniem herbaty. Odkłoniła się mi bardzo grzecznie, wskazała miejsce, a gdym się do niej zbliżyła podała obie ręce.

— Bardzo się cieszę z przybycia pani, rzekła, spodziewam się że będziemy zarówno z siebie zadowolone.

Gdym usiadła p. X. powróciła znowu do swej czynności, naprzemian wypytując mię o szczegóły podróży lub zwracając się do służącego. Była naturalną, swobodną, tak że pozbywszy się pierwszego pomieszania spokojniej poznawałam przybywających kolejno domowników.

Weszła niemłoda osoba, bardzo poważna i strojna, siostra gospodarza domu — razem z nią brat jej—człowiek w średnim wieku, elegancki i pełen pańskiej galanteryi. Potem zjawiła się młoda brunetka, z ostremi rysami twarzy — była to p. *Żozefina* moja koleżanka obecnie.

— Oto są elewki pani, przedstawiła p. X., i dwie panienki dygnęły mi. Starsza z pietnaście lat mieć może, druga o parę lat młodsza. Niemogłam z ich twarzy nic wyczytać nad cie kawość, z jaką na mnie patrzały.

Młodsza okazywała się więcej żywą: usiadłszy przy francuzce chichotała często szepcząc jej coś do ucha. Niebawem przybył niemłody człowiek z dziesięcioletnim chłopczykiem, jest to nauczyciel. Zgarbiony, zaniedbany, niepozorny, usiadł na szarym końcu i niczyjej nie zwracał uwagi; potem z małą dziewczynką nadeszła pulchna uśmiechnięta bona niemka. i młody człowiek często pokręcający wąsiki — który zamaszyście mi się ukłonił. Rozmowa potoczyła się wesoła, lekka, miejscowa z uwzględnieniem mej obecności, a rozmawiano językiem mieszanym, francuzkim z przymieszką polskich frazesów. Pan domu dawał mi dowcipne zapytania jak gdyby czynił próbę mej bystrości umysłu, pani stawała po mej stronie w obronie płci naszej, siostra p. X. naprowadziła rzecz na mój rodowód. Zaczęłam się wcielać w towarzystwo. P. Żozefina zasypała mię potoczystą *konwersacyją* o niczem, a starsza *elewka* uśmiechająca się tylko dotąd ilekroć razy nasze oczy się zbiegły, zapytała mię wreszcie: czy wieś wolę—czy miasto? Przybył ktoś z gości — pogadanka ożywiała się — aż przyszła kolej na muzykę. Zagrałam ku ogólnemu uznaniu waryjacyje Vallaca—zaśpiewałam coś bardzo misternego i wieczór przeszedł niepostrzeżenie, byłam ożywioną, prawie swobodną. Tak to oddziaływa towarzystwo posiadające salonowe umiejętności, mające takt i dobry ton obycia. Przez cały wieczór nikt najlżejszą wzmianką nie dotknął kwestyi tyczącej się mego obowiązku, a gdym się udała do siebie, zostawałam pod wpływem nieoznaczonych pół wrażeń, nie mogąc myśli przytwierdzić do jakiegoś stałego punktu, ani rozjaśnić sobie widoku na dalszy mój pobyt tu i pracę. Pragnęłam jak najprędzej wyjść z roli gościa, wejść w tryb zajęć, poznać swe uczennice i ich stopień wykształcenia.

— Co się tycze rozpoczęcia nauk, wstrzymać się musimy dopóki nie ułożę programu co nie jest łatwą rzeczą, mówiła mi pani X., lecz między 3 a 5 godziną może p. Jadwiga zapoznawać się z elewkami, powoli przejdziemy do nauk formalnych. Z dziewczątkami przepędzającemi wolne godziny pod okiem francuzki przestawałam po parę godzin dziennie. Poznałam że są bardzo dobrze *ułożone*, że wiedzą kiedy i co mówić wypada, starsza nawet wcale nieźle umie prowadzić konwersacyją; lecz spostrzegałam ich dziwne minki ilekroć razy chciałam rozmowę sprowadzić na ton poważniejszy naukowy.

— Potem, p. Jadwigo! będzie jeszcze czas na lekcyje. Zresztą p. Żozefina była nieprzyjaciółką wszelkiej pruderyi i tyle ciekawych rzeczy a zabawnych miała do powiedzenia! Mówiła że grzechem jest pedanteryja z dziećmi a pedanteryją jest przenosić rozmowę od naukowego stolika na godzinę swobodnej rozrywki.

---

nadający się dosyć do tego rodzaju popędów. Jest nim osobistość dosyć skromna, bo błazen nieboszczyka męża, węgier z długimi wąsami, na którym łaskawie spoczął wzrok królowej. Lecz widocznie młodzian ten należał do szczególnych ulubieńców Amora, gdyż bożek obdarzył go równocześnie miłością nadobnej Fantaski pierwszej damy dworu monarszego, z którą łączyły go wspomnienia rodzinnej ziemi i błękitnych wód Dunaju. Dla większego splątania intrygi zjawia się jeszcze nowa sytuacyja. Fantaska wpada w oko dowódcy eunochów, który pragnie nabyć ceną złota ten skarb drogocenny. Na grze tych uczuć opiera się cała akcyja. Pragnąc się pozbyć nienawistnego wielbiciela, zręczna węgrzynka, urządza wielką intrygę. Puszcza fałszywą pogłoskę o zbliżaniu się pod mury stolicy wielkiej siły nieprzyjacielskiej. Królowa i jej ministrowie wpadają w rozpacz. Blada mara strachu niezbyt estetyczne ukazuje oblicze. Brak dostatecznej armii smutną obwieszcza przyszłość. Wtedy zręczna filutka występuje ze wspaniałą radą, proponując urządzenie armii walecznych amazonek. Wniosek został uchwalony, i nadobne dziewice spieszą pod broń. Ale nowo zorganizowane pułki niewieście, zamiast wystąpić walecznie w obronie kraju i królowej przeciwko nadciągającemu nieprzyjacielowi zdobywają bogatą Kolchidę, mieszczącą się w podziemiach zamku, łupiąc w okropny sposób jej skarby. Oburzona monarchini śpieszy na obronę pogwałconej własności, wzywając na pomoc ukochanego młodziana. Lecz zamiast jego, zjawia się przed nią najprzód przewodnik osłów, później dowódca eunochów. Wzburzona i zrozpaczona królowa rozgania cały harem wraz z parą kochanków, żegnając się na wieki z upragnionym przedmiotem miłości. Przy radosnych krzykach wypędzanego tłumu, spada zasłona. Ostatni obraz, upiększony powabną interwencyją czynną, tworzy uroczy nader widok. Całość, jak widzimy, obmyślana głęboko, i pełna wykwintnych efektów. I do takich to arcydzieł wielcy maestrowie zagraniczni dorabiają szczytne trzy muzyki, zyskując oklaski żądnego wrażeń tłumu!...

Przejdźmy do innych spraw nadsekwańskiej ziemi. Otóż jak wiadomo wam zapewne poważny areopag Akademii francuskiej przyjął do grona swego jednego z przedstawicieli nowoczesnego spirytualizmu p. *Caro*. Pewien poważny kronikarz z grona literatów naszych żywił silną obawę, ażali ogół należycie uczci zasłużonego w nauce męża. Lecz naród francuski umie uczcić prawdziwą wiedzę, choć błędną, spaczoną pod niektóremi względami kierunkiem filozoficznym. P. Caro odczytał porywającą mowę wobec licznie zgromadzonego tłumu.

Miejsce osierocone w Akademii przez *Julijusza Janin* zajął znakomity publicysta *Lemoine*, jeden z najlepszych pisarzy współczesnej Francyi. Publiczność również licznie zebrała się na przyjęcie nowego członka uczonego areopagu. Chociaż Lemoine jest tylko prostym dziennikarzem, lecz mimo to w Akademii francuskiej znajdzie się nie wielu tak utalentowanych.

A propos zmarłego Julijusza Janin'a! Szanowni koledzy i bracia w duchu i felijetonie... Jeżeli przyjdzie wam kiedy ochota zarobienia

Pozostawiono mi zresztą zupełną, choć nurzącą swobodę przywykania do miejscowego trybu życia. Matka moich uczennic zbyt wiele miała zatrudnień, by się mną zajmować i zaledwie podczas ogólnych zebrań widywaliśmy się z sobą. Nareszcie program już gotów—pani X. oznajmiła mi tę nowinę i życzyła sobie porozumieć się zemną w tym względzie. Pierwszy raz z uczennicami i ich matką znalazłam się sama.

— Sądzę że możemy już przystąpić do systematycznej nauki pani poznała nieco moje córki i jak mi się zdaje nie zbyt złego w nich nie znalazła. Są w nich wady, wiem o tem, to też zadaniem naszem jest usuwać je, gdyż ja kształcenie charakteru uważam za rzecz wyższej doniosłości nad edukacyją właściwą.

— Uwielbienia godne zdanie.

— Zadaniem mego życia jest dobrze wychować córki. Pracuję nad tem usilnie i mam wyrobiony systemat, jednakże przedstawiając go pani nie myślę wymagać biernego posłuszeństwa, owszem rozumnego współdziałania pragnę, ciągnęła dalej poważna dama.

— Czuję się prawdziwie szczęśliwą...

— Pani wstępuje dopiero w trudny zawód wychowawczyni, nie obrażę więc ją zapewne jeżeli jako doświadczona matka wskażę jej kierunek, wesprę praktyczną radą i udzielać będę wskazówek.

— Przyjmę je z wdzięcznością odrzekłam, i z otwartem sercem słuchać zaczęłam treści nieznanego mi dotąd systematu mojej przełożonej.

— Najprzód wyznać muszę iż w pani spodziewam się znaleść wszystko dobre, co znajdujemy zwykle w lepszych nauczycielkach polkach: sumienność i serdeczne przejęcie się obowiązkiem. Niech pani nie bierze tego za komplement, zaraz zobaczymy odwrotną stronę medalu. Nauczycielkom polskim brak zwykle wyższego pedagogicznego wykształcenia. Nic dziwnego! Nie posiadamy takich szkół nauczycielskich jakiemi się chlubi Francyja. *) Dalej, polki bywają zarozumiałe, wierzące w swą nieomylność, wymagające, obraźliwe.... W tych względach wyżej stawiam francuzki, lecz polki dla tego właśnie że mniej bystre, mniej wyrobione, nie mają tej przebiegłości, więcej są pracowite i więcej budzą zaufania. P. Żozefina np. kto wie czy nie zaszczepiła by przewrotności w córkach, gdybym od czasu do czasu nie kontrolowała jej postępowania—na pani, przeciwnie, polegam zupełnie. W krótkim czasie poznaję charakter nieznanych mi osób—panią znalazłam godną stać na straży moralnego kierunku mych córek. Tu podała mi rękę. Choć wyznaję szczerze, dodała z uśmiechem, jestem bardzo ostrożna, zrażona postępowaniem poprzedniczek pani, np. p. Tekli. Tu wspólnie z córkami zaczęła przytaczać bodaj czy nie przesadne szczegóły, śmieszne i oburzające. Słuchając tego wszystkiego zadawałam sobie pytania: czy w systemacie p. X. leży, podobne opinije i przykłady przy dzieciach rozbierać? i jak smutne jest pierwszeństwo moje, które mi matka uczennic w obec nich przyznaje z wyznanych otwarcie pobudek? Nie jest to przecież jeszcze systematem, który poznać pragnęłam jak najprędzej. Przystąpiłyśmy doń niebawem:

— Jestem zwolenniczką ścisłego porządku, zaczęła p. X. Taki sposób postępowania nadaje charakterowi cechę skończoności. Dla tego też zajęcia całodzienne panienek ujęte są w karby stałych godzin, skombinowanych długą praktyką. Cały obszar nauk dzielę na: języki, talenta i (utarte u nas wyrażenie) *nauki polskie* t. j. należące do polskich nauczycielek. Język francuski, literatura i historyja Francyi, oraz początki malarstwa przypadają na p. Żozefinę. Język niemiecki prowadzi panna Frisztik, muzykę zaś i polskie nauki pani będzie wykładać; prócz tego p. Pawęski udziela Bibci arytmetyki raz na tydzień, a ks. wikary religii. Przy tak szerokim planie edukacyi, nie małą trudność przedstawia ułożenie dobrego programu. Tu dobyła zapisany arkusz papieru.

— Pani zechce wprowadzić to w wykonanie. Dla niej przypada półtory godziny z Józią, trzy z Bibcią i jedna dla małej Mini. Pod szczególną opiekę pani oddaję muzykę starszych panienek, co do innych zaś nauk posiadamy wyborne podręczniki w kursie nauk elewek de St. Denis. Pani jako posiadająca język francuski z pożytkiem może się trzymać tych niezrównanych wzorów edukacyi, które językiem samym przyniosą uczennicom korzyści wyższe nad konwersacyją...

— Więc takie przedmioty jak Historyja, Geografija mają być wykładane po francusku?

— Tak jest. Nic tak niewyrabia jak uczenie się w nim. Pani nienależy, spodziewam się do tych domorosłych nowatorów co krzyczą przeciw francuszczyźnie, zapewne czuje pani jak niezbędnym jest kobiecie wyższego towarzystwa ten język? A czemże jest znajomość jego powierzchowna tylko? Parafijańszczyzną, śmiesznością. Jeżeli się uczyć czegoś to już gruntownie. Ale wracam do programu.

— Józia robi z p. Żozefiną piśmienne wypracowania w przedmiocie historyi i literatury francuskiej, życzyłabym sobie aby takie ćwiczenia robiła przy pani w innych przedmiotach.

— Czy także po francusku?

— Tak jest. Jeden i ten sam przedmiot, opracowywać panie mogą we dwie, usterki stylowe i t. p. p. Żozefina poprawi, tym sposobem zawiąże się chwalebna emulacyja, za pomocą której chciałabym Józię pobudzić do postępów w piśmiennem wysłowieniu dużo zostawiającem do życzenia. Ach pani już chce zapewne wystąpić w obronie ojczystego języka! Niechże pani nie myśli że go myślę zaniedbywać, przeciwnie, choć daleką jestem od modnych w pewnej sferze deklamacyi. Język polski, to rzecz wrodzona, na pięknych wzorach francuskich kształci się, nabiera subtelności i wdzięku. Teraz nam mało czasu na ten język pozostaje, ale później gdy panienki podrosną, będą mogły czytać w dość rozwiniętej już naszej literaturze, studyjować nawet; przyjdzie czas na to. Nie jestem ślepą zwolenniczką cudzoziemczyzny, ale też nie podzie-

*) Muszę się przyznać ze wstydem że nic o ich doskonałości nie słyszałam.

czegoś więcej nad marne cztero lub sześciogroszówki od wiersza, jeżeli zapragniecie ujrzeć na spracowanej długo-letnią bazgraniną skroni choćby najskromniejszy laur uznania i zasługi, przeczytajcie sobie życiorys największego z felijetonistów europejskich, skreślony ręką jego sekretarza. Przestudyjowanie tego dziełka i naśladowanie mistrza nie uczyni was wprawdzie tak wielkimi, aby po śmierci własny sekretarz opisał pracowity żywot wasz, a to dla tej prostej przyczyny, iż zapewne żaden z was nie posiada i nie będzie nigdy posiadał tak kosztownego *objectum*, chyba w postaci nadobnej towarzyszki życia. W każdym razie jednakże nie byłoby bez pożytku poznać, jak to myślał, czuł i pisał ten, którego felijetonami zachwycała się Francyja cała, sława którego rozeszła się po wszystkich krajach ucywilizowanego świata!

Niechaj nam maluczkim wolno będzie powtórzyć tylko jedno z najskromniejszych życzeń szanownego mistrza naszego:

Wewnętrzny spokój, przyjaciele wierni,
Domek bez troski, ogródek bez cierni
A kiedyś orszak życzliwy za trumną:
Godziszʼ się wyżej sięgać myślą dumną?*)

Siłaż dobrodziejstw mam ja z ręki Boga:
Przy boku moim towarzyszka droga;
Ten promień słońca te bzy, te powoje,
Ten duch pochyły, te słodkie sny moje;
To modre oko, utkwione w mem oku.
Ta własna grzęda, gdzie posiewam kwiaty:
Możeszli życie dać więcej uroku?
Mnie nic nie trzeba: jam dość już bogaty!

Jeden z drobnej dziatwy poetycznej naszej, którego miano z powodów osobistych zostanie wieczną tajemnicą myśli i serca mego, w następujący sposób dopełnia to określenie losu felijetonisty kreśląc zarazem obowiązki jego:

Jedną myśl jasną przesłać bratniej duszy,
Uśmiech, co czoło rozjaśni na chwilę,
Lub ton serdeczny, co pierś żywiej wzruszy; —
Ziarn kilka złożyć pod skrzydła motyle,
I tu i owdzie polując w około,
O tem, o owem pogwarzyć wesoło,
Czasem pod marzeń złocistą koroną,
Smutno zakończyć nutę felijetonu....
Bawić i uczyć oto dola wasza!

Dalej myśl poetyczna ginie; w prozaicznym rymie. Niech więc na wiek pogrzebaną zostanie!

Piękna to rzecz sława, lecz równie dobrą jest cicha zasługa. Jeden z młodych aplikantów w biurze Apollina, przesłał nam wierszyk, w którym uczcił słusznie skromną pracę p. *Kazimierza Promyka* autora broszurki „*Stanisław Staszyc.*“ Aczkolwiek utwór ten w krainie muzy mógłby stać zaledwie w przedpokoju, jednakże ze względu na treść zacytujemy go pobłażliwym czytelnikom:

Gdyby mieszczanie, rzemieślnicy, kmiotki,
Szczere uczucia i pokorne myśli
Umieli wiązać w rymowane zwrotki,
Jak Twój kolega, co te słowa kreśli;
To gotów jestem na muzę zaprzysiądz,
Że miałbyś takich podziękowań tysiąc
Za to, żeś dla nich dostępnemi słowy
Ślicznie opisał żywot Staszycowy!
Lecz choć podzięki słowa niebogate,
Ty w własnej duszy znajdujesz zapłatę,

*) Przekład z Biblijoteki Warszawskiej. (P. a.)

lam przeciwnego fanatyzmu; język francuski uważam za podstawę wyższego wykształcenia kobiety i dla tego ze smutkiem czuję jak z winy poprzedniczek pani, córki moje straciły akcent nawet mimo starania p. Żozefiny przepysznie władającej swym językiem. Zły wpływ zawsze jest silniejszy od dobrego. Otóż proszę panią dołożyć usilności w celu naprawienia złego, bo z prawdziwą radością spostrzegam w niej bardzo czystą wymowę, pomimo małej wprawy. Trzy dni w tygodniu p. Żozefina jest obowiązana konwersować z córkami, jeden dzień niemka, a pani zechce w trzech dniach pozostawionych dla niej, jak najwięcej rozmawiać po francusku. Pragnę tego tembardziej że to i dla pani z prawdziwym będzie pożytkiem. d. c. n.

PRÓBKI WYCHOWANIA DOMOWEGO.

(Szkice pedagogiczne).

Z wielu względów nie zadawalnia mnie wychowanie jakie daję dzieciom moim. Często bardzo, mianowicie teraz, gdy charakter każdego z dzieci wybitniej się począł oznaczać, z niepokojem zadaję sobie pytanie: czy postępuję jak należy, czy idę nie myłną drogą? Być może, omyłki moje daleko ważniejsze mają znaczenie niż mi to się z razu zdawało?

W takim niepokoju, gdy metoda żadna niemogła mi dać nieomylnych wskazówek, a sąd własny wydawał się zbyt jednostronnym, postanowiłam badawczo przyjrzeć się praktyce wychowania, aby przez porównanie odświeżyć swój pogląd i z zalet i błędów znajdowanych w rozmaitych sposobach wychowania korzyść dla siebie osiągnąć. W tym celu wybrałam się odwiedzać znajome mi domy, gdzie spodziewać się mogłam cennych dla mnie spostrzeżeń, któremi bez uprzedzeń miłości własnej chciałam zbogacić swój zasób doświadczenia, a w błędach innych swoje błędy poznawać.

Po niejakim czasie, wybrawszy dzień odpowiedni, zaczęłam moję wędrówkę od Pani Polner, osoby światowej, kochającej namiętnie swą jedynaczkę.

Zadzwoniłam o pół do pierwszej. Lokaj uprzedził mnie, że pani jeszcze nie ubrana, weszłam jednakże, chcąc zobaczyć małą Adę. Z sąsiedniego pokoju wyszła szykowna, szczuplutka, wysoka na swój wiek, jedenastoletnia dziewczynka. Wszystko w niej tchnęło elegancyją i dobrym tonem, zaczynając od ubioru i uczesania włosów do całego układu. Zgrabnie się ukłoniła, podała mi rękę prosząc abym usiadła.

— *Maman n'est pas encore visible, madame.* Wczoraj bardzo późno wróciła od państwa B. gdzie była na balu maskowym. Ale ciocia Meri służyć pani będzie natychmiast. Tu pani będzie dogodniej... I zgrabnym ruchem przysunęła mi niziutki fotelik.

Nie wiedziałam, od czego zacząć z tą małą osóbką; jej pewność siebie zmięszała mię trochę.

— Jak się mają miłe dziateczki, pani? Śliczne pani ma córeczki, szczególniej Zosia... Mama znajduje, *que ça sera un charme*, gdy skończy lat 16. Byłabym bardzo rada zobaczyć się z niemi, ale pani ich nigdy z sobą nie bierze?

— I owszem, one też czasem odwiedzają znajomych.

— Jakże się to stało, że się spotykamy jedynie u pani K?

Weszła ciocia Meri; otyła 35-cio letnia dziewica, niezmiernie tkliwa. Ona z również słodką miną powiedziała mi, że jej siostra *n'est pas visible*, gdyż wróciła bardzo późno; że bal był zachwycający, stroje czarujące. Zaiskrzyły się oczy Ady, a twarzyczka jej niezwykle wyrażała ożywienie przy opisie strojów.

Dzwonek — wchodzi wyfrakowany elegant w blado lila rękawiczkach.

Ada uniosła się cokolwiek z krzesła, odpowiadając na jego ukłon, uśmiechnęła się milutko, podała mu dwa paluszki i ukazała miejsce obok siebie. Jegomość nie zwrócił szczególnej uwagi ani na Ciocię Meri, ani na mnie. Usiadł niedbale na kanapce i wpół seryjo, wpół żartem zaczął rozmowę z Adą. Znowu dało się słyszeć: „Maman n'est pas visible, mais elle va venir,“ i tak dalej.

Nie mogłam się nadziwić tej małej światowej panience; nie wiedząc co o niej myśleć.

— Pani się zachwyca naszą Adą? rzekła ciotka; prześliczne dziewczątko, nieprawdaż? Wszyscy znajdują że to zupełnie *une petite femme accomplie*; żadnych swawoli dziecinnych, zawsze grzeczna, spokojna i przyzwoita. Pani wie że ja i siostra nie zniosłybyśmy tej dziecinnej wrzawy i hałasu; Ada też umie zachować się jak należy.... Ale i pani ma również dziatki? słyszałam że mają też być dobrze prowadzone, a któraś z córek ma być pięknością podobno? Czemuż ich pani nie pokazuje światu? Ach rozumiem! wyrachowanie! żeby olśnić mogły gdy dorosną...

— *Vrai*? Przyniosłeś pan lożę dla mamy, na benefis Pawaniego? mówiła tymczasem Ada... *Vous-êtes tout—a—fait charmant!* Mama będzie zachwyconą; ona tak uwielbia Pawaniego!

— A pani, kim się zachwycasz? zapytał elegant.

— Ja? nikim!

— A jednak?

— Nie, doprawdy. I Ada uśmiechnęła się zalotnie.

— Coś mi wierzyć trudno! *Soyons amis.* Weź mię pani za powiernika.

— Prawdziwie, nic innego nie mogę odpowiedzieć. Zapytaj pan cioci.

— Czyż o takich rzeczach mówi się cioci?

— A panu tem bardziej! *Et puis, une demoiselle bien élevée n'a pas de secrets*, powiedziała Ada z godnością, lecz miły uśmiech złagodził te słowa.

— Brawo, Adziu! Wybornie powiedziałaś! „zawołała ciotka.“ Prawdziwie, nie ma już dziś dzieci, rzekła zwracając się do mnie; takie rozumne te małe istotki, tak się dobrze znaleść umieją. Anna prawdziwie szczęśliwa

---

Więc ci życzenia składam najgoręcej,
Byś nam podobnie pisał... *więcej, więcej!*“
(K. H...).

Od poezyi przejdźmy na chwilę do humorystyki. Dziwny niedawno fakt stał się w tej dziedzinie. Oto w jednym z ostatnich N-rów *Kolców* w udatnym zresztą drzeworycie zdarzyło się maleńkie zamieszanie. *Prostota* bowiem zaczęła kokietować, *kokieteryja* stała się na chwilę prawdziwie niewinną prostotą; *miłość* opanowała duma, a *duma* zrzuciła maskę niedostępności i zakochała się. Widocznie albo drukarz zmienił tytuły, albo rysownik tasując karty, urządził woltę.

Ale zabawiając się drobiazgami naszego zaściankowego żywota, zapomnieliśmy o sprawach wielkiego świata. Chwytamy więc co prędzej polityczne pióro nasze.

Nad *Hiszpaniją* zabłyśnie niebawem jasna jutrznia pokoju, oświecając krwawe pobojowisko bratnie. Umiarkowana partyja liberalna wzywa swoich towarzyszy do zawarcia przymierza z przeciwnikami. Wezwanie to jest następującej treści: „Ponieważ ukończenie wojny, zachowanie porządku i swoboda parlamentu zależy bezwarunkowo od utrwalenia na tronie Alfonsa XII, my, niżej podpisani, pragnąc dojść do tego upragnionego celu, wzywamy swoich politycznych przyjaciół, aby raczyli zebrać się w dniu określonym (?) dla obmyślenia środków któreby ku temu posłużyć mogły.“ Następują podpisy dziesięciu delegatów.

Tymczasem w Madrycie czynią przygotowania *) dla nadania temu zebraniu jak najbardziej uroczystej cechy. Rząd w zupełności je pochwala, a naród spodziewa się błogich rezultatów w przyszłości.

Przejdźmy na inną arenę życia politycznego. Skoro przeminęło już niebezpieczeństwo wojny, wielcy politycy europejscy debatują, czy ono istniało, czy nie. Nie czując się zdolnymi do pojmowania głębokich przyczyn, jakie skłania tych panów do dysputowania nad minionem niebezpieczeństwem, zaznaczym tylko, iż różne organa różnie zapatrują się na tę kwestyją. Te, które z przyczyny pozycyi swojej mogą bliżej badać tajemnice dyplomacyi rządowej, utrzymują, że wszelkie pogłoski o o nieprzyjaznym nastroju sąsiadów, nie miały żadnej podstawy faktycznej. Inne znów organa utrzymują, że niebezpieczeństwo było rzeczywiste, i jedynie interwencyi postronnych mocarstw przypisać należy przerwanie nieprzyjaznego prądu.

*) Być może, że skoro wyjdzie ten N-er, sprawa już pójdzie dalej, i zebranie przyjdzie do skutku. (Przyp. aut.)

że ma taką córkę — zachwycająca!... *Et puis, si espiègle.* Nadzwyczaj dowcipna! Wczoraj jej się umyśliło przymierzać wszystkie upięcia i stroiki matki; zrobiłam jej z tego powodu maleńką uwagę i wie pani, znajduję że to nie wypada, żeby dziewczynka stała ciągle przed zwierciadłem — to za wcześnie... Cóż pani myśli? jak mi na to odpowiedziała? *Chère tante!* idę w ślady mej matki; a wszystko co ona robi — *c'est parfait!* Śmiałyśmy się serdecznie. Zawsze jednak uważam, że siostra błędnie postępuje z Adą. Jej wychowanie nazbyt jest realne, ona już teraz pojmuje wszystkie tajemnice życia, wszystko jej znane, gdyż ciągle jest w towarzystwie dorosłych. Prawda — jest w tem dobra strona: nikt jej nie zawiedzie, nikt nie nadużyje jej zaufania, — i ciocia Meri westchnęła; — ona nie popełni tych błędów, za które trzeba płacić tak drogo, — (i znowu ciężkie westchnienie); lecz przyznaj pani, iż trochę poezyi! ta czarująca niewiadomość, ten odcień niezręczności, tak zdobią młodą panienkę. A przytem, jeśli Ada teraz takie ma stroje, cóż będzie potem? co ona włoży w lat 16? Dla niej już dziś nic nie ma nowego. A pamięta pani jak nas zachwycały pierwsze nasze balowe stroje? jaka to była epoka w naszem życiu? Te modne rękawy, — falbany — kwiaty — jak nam to wszystko zawracało głowę! Jaka to była pora szczęśliwa... A teraz to już wcale co innego... Ada już się tak ze wszystkiem obyła, zna się na tem doskonale. W tych dniach, naprzykład, byłam świadkiem zabawnej sceny: Ada miała lekcyją muzyki; byłam w sąsiednim pokoju, drzwi do salonu były przymknięte. Ada grała ze swoją nauczycielką jakiś wyjątek z Fausta, kalecząc go niemiłosiernie, gdyż zajęta była ożywioną rozmową z panią Rychter. Przysłuchuję się, o czem też one z takiem rozmawiają zajęciem? i cóż? Pani Rychter na seryjo radzi się Ady, jak ma zrobić swoję nową suknię, — a ta, tonem nauczyciela pojmującego swoję rolę, rozprawia, że tiuniki wychodzą już z mody, i *que la jupe relevée* pufem — to najświeższa nowość... Ale to główne ton i znalezienie się Ady! to warto było posłuchać. Zawołałam Anny — uśmiałyśmy się obie. Siostra, naturalnie, nie puściła tego płazem... zrobiła uwagę pani Rychter, że godzina muzyki nie jest porą pogadanki, że można paplać ile się podoba, lecz nie w tę porę gdy grać należy i że obowiązkiem nauczycielki pilnować aby uczennica nie grała fałszywie i brała właściwe palce.

Nie chciało mi się słuchać dłużej, nie czekałam nawet na matkę *de cette petite femme accomplie*, i udałam się dalej. Ostatnie słowa Ady które usłyszałam były: „Wczoraj wstąpił do nas R. — szczęśliwy... w siódmem niebie... musisz pan wiedzieć że jego kary wygrał zakład.“

Pojechałam do pani Kryckiej, osoby niezmiernie litościwej, należącej do wielu towarzystw dobroczynnych, a szczególniej mającej sławę najlepszej matki. Matka od 17 roku życia, pani ta ma dzieci rozmaitego wieku, a nawet wnuki, uważa się sama za nieomylnego sędziego w sprawie wychowania. W teraźniejszej porze przedmiotem szczególnej jej troskliwości, był 10-o letni chłopczyk, pieszczone i ukochane jej dziecię. Kocio był bladziutki, szczupły i drobny na swój wiek chłopaczek, zgrabny i sprytny, z rozumnym chociaż nie miłym wyrazem twarzy. Ubiór jego był zawsze nadzwyczaj staranny; aksamitny spencerek leżał na nim szykownie, cienka i czysta bielizna, ręce i paznogcie czysto i elegancko utrzymane, jak u dorosłego mężczyzny. Przytem, był to chłopaczek bardzo grzeczny i uprzejmy. A jednak, moje dzieci nie lubiły z nim przestawać: zapewniały że jest tchórz, i złośliwy, że do ciemnego pokoju nigdy nie wejdzie, że drży na widok pająka, a do pieska nawet pokojowego, ani się zbliży. Skoro musiał powracać wieczorem do domu, wszędzie upatrywał rozbójników, chował się za matkę i płakał ze strachu. Rodzice składali to na nerwy; rzeczywiście, dziecko było zdenerwowane do tego stopnia, że nie tylko politowanie, lecz wstręt budziło. Z resztą chłopczyk był przyzwoity, delikatny i posłuszny. Rodzice się nim zachwycali a wszyscy znajomi chwalili.

Wchodzę do bawialnego pokoju, pani Krycka robi jakąś szydełkową robotę, jedna z jej zamężnych córek, siedzi obok niej z takąż robótką; młody człowiek, bliski znajomy rodziny, kręcił sobie papierosy u stołu. Mały Kocio po raz setny przegląda album z fotografiami.

— Jakiż gość niespodziany! cóż to za traf szczęśliwy panią nam sprowadza? — wyrzekła uprzejmie gospodyni domu.

— Przychodzę zasięgnąć nauki!

— Cóż to znaczy? nie rozumiem znaczenia słów pani.

— Chciałabym się bliżej przypatrzeć jak inni wychowują swoje dzieci, żeby też i samej skorzystać z cudzego doświadczenia.

— Otóż to lubię! Jak to znać zaraz rozumną kobietę! Masz przykład Karolino! Jeśli ci kiedy Bóg zeszle błogosławieństwo swoje, nie licz jedynie na rozum własny; udaj się...

— Udam się, udam niezawodnie... do piastunek, bon i guwernantek! one to lepiej umieją, to ich specyjalność wyłączna! a ja tego wcale nie rozumiem, nie dotknę się do niczego! Młoda kobieta uśmiechnęła się.

— Nie powinnaś się odzywać w taki sposób. Nadto jesteś lekkomyślną!.. Zaniedbywać najświętsze powinności matki! czyż to się godzi? Bóg ci da natchnienie; a swego dziecięcia nie należy powierzać obcym. Dzieci — to główny cel życia matki! Nie, nie, twój mąż na to nie pozwoli, to człowiek postępowy.

— Gdzież byłaś kochana pani?

— Wracam właśnie od pani Polner.

— Od Anny? od niej uczyć się czego? Chyba pani żartujesz? Seryjo biorąc rzeczy,— nawet wyobrazić sobie nie umiem co będzie z jej dziewczynki. Przy całym moim szacunku dla pani Polner, nie mogę pojąć jej sposobu wychowania. Ada udaje dorosłą, rozmawia swobodnie z każdym, wiecznie ją zastać można w salonie. W jej oczach zalecają się matce, a mała już teraz bierze lekcyje kokieteryi; — i to się nazywa wychowaniem! Ada od dawna marzy o tem, co stosowne w lat 20. A później, ten wybór przyjaciół, — nie ma tam prostych śmiertelników, tylko prince, lub hrabia; na ludzi bez tytułu Ada patrzy z góry, naśladując matkę. Co też to z tego będzie? Czy słyszała pani kiedy jej rozmowę na balu dziecinnym?

— Nie zdarzyło mi się.

— Ach, to nie do uwierzenia; mój Kocio był tem tak przejęty, że raz nawet dał mi znak, żebym sama usłyszeć to mogła.

— Cóż to było?

— Zaraz pani opowiem. Ada niedbale rozparta na kanapce, a przy niej mały baron Nodi, wie pani, ten zarozumialec, — wsparty o konsolę — dwoje malców rozprawiają na seryjo o operze, o tem że Mariani za mało ma życia! Jak się to pani podoba? Żeby to była moja córka, kazała bym jej klęczyć w kącie! Nic w niej nie ma dziecinnego, — to się w późniejszym wieku lepiej okaże. Nie spostrzegła pani jak jej brak wstydliwości, skromności dziecięcej? — zupełnie jak baletniczka jakaś, słowo daję!

Mój Kocio skromniejszy nieporównanie, chociaż to chłopczyk (Kocio na te słowa matki robi skromną minkę!); jego każda dziewczynka zawstydzić potrafi. Przykład mam pod ręką: mała Adelcia pani, przy ostatniej u nas bytności... *J'espère, vous m'excuserez, chère!* — wiem jak lubisz prawdę... pragniesz się pani nauczyć... czy mi wolno być szczerą?

— Ach i owszem, wdzięczną będę prawdziwie.

— Adelcia, zgodzi się pani kochana, trochę... nie wiem jak mam się wyrazić? trochę nieuważna? bezwątpienia przejdzie to z wiekiem. Otóż gdy była u nas, rozwiązała się jej spódniczka, czy też coś innego, i dziewczynka przy Kociu zawiązuje ją sobie, jak najobojętniej... Mój Kocio aż się pali ze wstydu, a ona ani się zarumieniła! Spogląda dokoła, ze spokojną minką! Bona zrobiła jej wymówkę, że to nie przyzwoicie przy chłopczykach poprawiać w taki sposób swoje ubranie, że to wstyd wielki dla słusznej (6-cio letniej) dziewczynki, a ona jej na to: „Wstyd kłamać i dokuczać komu, a zawiązywać spódniczkę nie wstyd wcale!“

Roześmieli się wszyscy: matka, córka i gość; ja się uśmiechnęłam również, Kocio tylko spojrzał z wyrazem oburzenia.

— Ach, to mi przypomina ciekawą anegdotę, którą słyszałam od pani W. odezwała się z ożywieniem pani Krycka; jest to rzecz nie zupełnie przyzwoita, lecz — *je ne metterai pas les points sur les i...* i gospodyni z dwuznacznym uśmiechem opowiedziała historyjkę bardzo nieskromną. Wzbudziło to wesołość pani Karoliny i młodego człowieka, Kocio siedział przycichły, aby nie zwracać na siebie uwagi, a słuchał z najżywszem zajęciem.

Córka najpierwsza się spostrzegła. *Maman, et le petit!..*

— Dzieciństwo! on nic nie rozumie!

— Jednakże....

— Kociu! idź do swego pokoju, moje dziecko.

— Mamo! ja się tam nudzę.

— Wynajdź sobie jakie zajęcie.

— Nie mam nic do czynienia.

— Poczytaj sobie.

— Wszystkie swoje książki już umiem na pamięć.

— Porysuj trochę.

— Moja mamo! nie chcę mi się rysować.

— Zawołaj Olesi — pobaw się z nią.

— Ja się nie lubię z nią bawić!

— Kociu! co to jest?

Chłopak milczał.

— Czy będziesz mnie słuchał nakoniec. I głos jej stał się ostry i groźny. Kocio ze spuszczoną głową i złością wyrytą na twarzy, oddalił się powoli.

Nastąpiło chwilowe milczenie; wszystkim było trochę niezręcznie. Chcąc zatrzeć przykre wrażenie zwróciłam się do gospodyni, chwaląc jej nowe mieszkanie, które go jeszcze nie znałam.

— Więc pani go nie widziałaś dotąd? pokażę pani inne pokoje, rozkład jest wyborny.

Weszłam z panią Krycką do jej buduaru. Do gospodyni podeszła jakaś kobieta z wyrazem twarzy i układem wyrażającym uniżoność i pochlebstwo, i pocałowała ją w ramię.

Gospodyni przeprosiła mnie grzecznie, że musi z nowo przybyłą pomówić słów kilka. Rozmawiały półgłosem, a ja tymczasem usunęłam się w drugi kąt pokoju, oglądając książki na wiszących półeczkach, Z sąsiedniego pokoju dochodziła mnie wyraźnie następująca rozmowa.

— Paniczu! wstyd, — bić nie wiedząc za co?

— Na! masz jeszcze! a powiedzieć nie śmiesz.

— Otóż powiem — zobaczy panicz że się poskarżę.

— Naści, jeszcze raz.

— Paniczu! bezwstydniku jakiś! a jak ja oddam?

— Tylko mi się waż! dam ja ci dopiero! nie zapominaj się tylko — nie równaj się ze mną; co ty, to nie ja.

— Wielka mi osoba! Złośnik jakiś! nie wiedzieć za co bić mnie w twarz! Za to że panicza wypędzili z salonu!

— Kłamiesz! nikt mnie nie wypędzał.

— Otóż nie kłamię, tylko wypędzili.

— Ej Oleśka! cicho bądź, bo pożałujesz tego!

W tej chwili szelest jedwabnej sukni pani Kryckiej dał się słyszeć. Rozmowa w drugim pokoju ucichła natychmiast. Miałyśmy właśnie obejrzeć inne pokoje, gdy pani Karolina wbiegła z pośpiechem:

— Baronowa Nadel! niech mama prędzej wyjdzie; — już jest w salonie!

Pani Krycka spojrzała w zwierciadło, szybko poprawiła upięcie na głowie i wyszła na spotkanie nowo przybyłej; ja zostałam z panią Karoliną w buduarze.

— Otóż zaczną się pochlebstwa i grzeczności wzajemne; aż mi się miło robi, gdy na to patrzę ze strony. Dziwię się mamie, doprawdy! powiedziała dobra córeczka.

— Ach cóż to za urwis! Boże miłosierny— dał się słyszeć za drzwiami głos starej piastunki. I od kogoś się to nauczył takich ślicznych rzeczy, bezwstydny chłopcze? w takim wieku, o czem to już smarkacz myśli!.. poczekaj no, wszystko ojcu powiem.

— Milcz mi zaraz, stara czarownico! niech cię licho porwie, szkaradna babo!

— Słyszy pani? to mój cichy i grzeczny braciszek, rzekła pani Karolina z gorzkim uśmiechem, ręką na drzwi wskazując. Co to z takiego gagatka wyrośnie, strach pomyśleć.

— A matka wie o tem?

— Mama? gdzież tam.

— Czemuż jej pani oczu nie odkryje?

— Ja? a mnie to na co? tylko bym sobie życie zatruła daremnie. Probowałam parę razy zacząć o tem rozmowę — złajała mię, zrobiła mi scenę i na mnie całą zrzuciła winę i chłopak tak jest przebiegły, że się zawsze uniewinnić potrafi! cóż za przyjemność narażać się bez korzyści?

— A ojciec?

— Ojciec zajęty służbą, interesami, — nie wtrąca się wcale do tego, przy tem, patrzy na wszystko okiem matki. Pani Karolina poprawiła włosy, narzuciła jakieś okrycie i wyszłyśmy do salonu. Kocio stał już przy matce, cichy jak baranek. Pani Krycka mówiła do baronowej:

— Ślicznie pani dziękuję! będziemy niezawodnie. Słyszysz Kociu? podziękuj! pani baronowa tak łaskawa że cię zaprasza na gwiazdkę.

Urządza gwiazdkę dla ubogich; ty, Lizi i mała Ada będziecie rozdawać podarunki.

— Dorosłym kawę i cukier, — a dzieciom trzewiki i zabawki, odezwała się baronowa.

Kocio zręcznie się ukłonił: — *Merci Madame*; a dużo będzie tych biedaków?

— O tak, około siedmdziesięciu, licząc z dziećmi...

— *Ah! que vous êtes bonne, chère baronne!* Bóg ci to nagrodzi, rzekła gospodyni.

— O, nie wiele tu mojej zasługi... przecież mi towarzystwo wydało na ten cel 50 rs. Naturalnie dołożę jeszcze od siebie.

— I pewnie kilkakroć więcej?

— To już do mnie należy!

I baronowa uśmiechnęła się z dobrocią. „Naturalnie wypada urządzić w taki sposób, aby ta gwiazdka została dla tych biedaków miłem wspomnieniem! Nie potrzebuję mówić o tem pani, która sama pojmujesz to najlepiej, jak mało radości doznają w swem smutnem życiu nędzarze... *d. c. n.*

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

III.

Zapalenie.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Zapalenia, podobnie jak krwotoki, leczą się w przeważnej ilości wypadków, za pomocą sił przyrody, i wyleczenie to, bywa albo zupełne, albo pozostawia po sobie więcej lub mniej wyraźne i ciężkie zboczenia w zaognionej przedtem części. Niekiedy zapalenie przechodzi w śmierć i gnicie części porażonej, co zowiemy wtedy *zgorzelą* (gangrena). Pomoc lekarza, jest rzeczywiście potrzebną i pożyteczną w niektórych tylko zapaleniach, a głównie — części zewnętrznych; podczas, gdy w zapaleniach organów wewnętrznych, nie wiele ona może poprzeć leczniczą sprawę przyrody. Przy kuracyi homeopatycznej, — gdzie lekarstwa, jak wiadomo, równe są zeru, choroba pozostawioną jest samej sobie. Stąd też, leczenie zapaleń podług metody homeopatycznej, zazwyczaj *tojadem* (aconitum napellus), bywa widocznie bardzo pomyślne. Czasami, zaniedbanie pewnych środków pomocniczych (np. w zapaleniach ocznych), na wielką może narazić szkodę.

Co to jest zapalenie? Zapaleniem mianujemy nienaturalne nagromadzenie się krwi w najdelikatniejszych naczyniach krwionośnych, które wskutek tego ulegają nadmiernemu rozszerzeniu, samo zaś krążenie krwi, bywa w nich wtedy albo znacznie zwolnionem, albo całkiem ustaje. Owe najdelikatniejsze naczynia zowią się *włoskowatemi* inaczej *kapilarnemi*, i służą do podtrzymania przemiany materyi, a więc i odżywiania czyli życia wszystkich organów. Prawidłowa przemiana materyi odbywa się wówczas tylko, kiedy przez ścianki naczyń włoskowatych, rozgałęzionych po całem ciele i łączących zakończenia tętnic z początkami żył, przesiąka bezustannie do przyległych tkanek ciecz *odżywcza*, pochodząca ze krwi,— oraz, kiedy jednocześnie z tychże tkanek i przez też same ścianki naczyń włoskowatych, wstępuje *zużyta* (obumarła), w stanie płynnym, składowa część tkanek i przechodzi do strumienia krwi, gdzie za pomocą tlenu tej ostatniej, zostaje spaloną. Naczynia więc włoskowate pośredniczą w *wydzielaniu* i *wydalaniu* (wsysaniu). Zapalenie, zmieniając normalny, przyrodzony stan naczyń włoskowatych oraz krążenia w nich krwi, powoduje tem samem naruszenie dwóch pomienionych bardzo ważnych spraw, jako też prawidłowego odżywiania części dotkniętej zapaleniem. Ważność tego rozstrojenia, zależy od stopnia nagromadzenia się krwi, od stopnia rozszerzenia naczyń włoskowatych i zastoju krwi. Niższy, prędko przechodzący stopień zapalenia, zowie się *nawałem* (congestio).

Jeśli zaś krew nagromadza się w takiej ilości, iż krążenie jej zupełnie ustaje, a ze ścianek naczyń włoskowatych wydziela się ciecz, różniąca się od naturalnej cieczy odżywczej,— jeżeli przy tych zmianach, część chora nie może już więcej spełniać swych czynności i na powierzchni jej zjawia się zaczerwienienie, nabrzmienie i ból, — wtedy, wszystkie te zjawiska razem z podwyższoną temperaturą miejsca zaognionego, stanowią *właściwe zapalenie* (inflammatio).

Ciecz, wydzielająca się podczas zapaleń z rozszerzonych i przepełnionych krwią naczyń włoskowatych, nosi nazwę *wysiąku*, *wypotu* albo *exsudatu*. Z wysięku tworzą się materyje chorobowe, płynne lub stałe, dobre lub złe, pożyteczne lub szkodliwe (jak np. ropa, posoka, guzy, rak); i tym sposobem, wysiąk może spowodować albo zniszczenie tkanki i utworzenie się nabrzmiałości, albo wyleczenie (ran, wrzodów, złamania kości). Ponieważ przy owych wysiąkach, powstających wskutek zapalenia, lekarz nigdy nie jest w stanie naprzód dokładnie oznaczyć, jakim mianowicie zmianom ulegnie tenże wysiąk, zatem i zejście zapalenia nie da się nigdy na pewno przewidzieć. Również nie podobna naprzód

oznaczyć, jak długo trwać będzie zapalenie z wynikłym wysiąkiem.

Odnośnie do przyczyn, sprowadzających zapalenie, to one przedstawiają takie mnóstwo i rozmaitość zewnętrznych oraz wewnętrznych wpływów szkodliwych, że w rzadkich tylko wypadkach lekarz potrafi je odgadnąć, tembardziej, że mogą one łącznie wywierać swe działanie, jak na ścianki naczyń włoskowatych i ich otoczenie, tak i na nerwy oraz krew tychże naczyń. Słowem, w obecnym czasie, nauka nie jest jeszcze w stanie określić dokładnie zjawisk, mogących służyć do rozpoznania poczynającego się zapalenia. Natomiast, przy rozwiniętem już zapaleniu i wysiąku, zjawiska te stają się bardzo wyraźnemi i łatwo można je spostrzedz, szczególniej przy pomocy mikroskopu.

Wyraźniejsze oznaki zapalenia, mianowicie: *gorąco*, *zaczerwienienie*, *nabrzmienie*, *ból* i *naruszona czynność części*, dadzą się zauważyć jedynie na zewnętrznych, leżących na powierzchni ciała częściach. Z pomienionych oznak, to jedna, to druga wybitniej występuje.

Zaczerwienienie części zapalonych, zależy od większej ilości naczyń włoskowatych i od nagromadzonej w nich krwi; bywa ono raz jasnem, to znów ciemnem, niekiedy równomiernie rozszerzonem, to znów tworzy smugi w postaci rozgałęzień lub sieci; zmniejsza się wskutek wysiąku i przybiera wtedy zazwyczaj odcień białawy. *Nabrzmiałość* zapalna odpowiada ilości nagromadzonej w naczyniach krwi i wysiąkom, — bywa ona miękka albo twarda, stosownie do tego, czy wysiąk jest rzadki lub gęsty. *Gorąco* (palenie), może czuć przy zapaleniu zarówno osoba chora, jak i obca za przyłożeniem ręki do części zaognionej; gorąco to przewyższa zazwyczaj o kilka stopni przyrodzoną ciepłotę ciała i zależy od nawału krwi i zmienionego odżywiania. *Ból*, uczucie ciężkości i t. p. zjawiają się przy zapaleniu wskutek podrażnienia nerwów czucia; im więcej takich nerwów znajduje się w części porażonej, tem dotkliwszy bywa ból przy zapaleniu. Często bardzo ból ustępuje w zapalonych częściach sam przez się, wskutek wysiąku, przez co daje powód do mniemania, że ustąpienie to jest dziełem użytych lekarstw, i że zapalenie przeszło, gdy tymczasem, wysiąk ciągle jeszcze istnieje i choroba bynajmniej się nie skończyła. *Rozstrojenie działalności* dotkniętego zapaleniem organu, sądząc według obszerności i stopnia zapalenia, może być więcej lub mniej znacznem, a niekiedy działalność ta nawet całkiem ustaje. Przy zapaleniu zmienia się odżywianie, razem zaś z tem ostatniem — forma i wielkość chorej części. Zdarzają się także mocniejsze lub słabsze krwotoki, wskutek pęknięcia jednego lub kilku przepełnionych krwią naczyń włoskowatych. Jeśli wieloliczne nerwy czucia doznają zbyt silnego podrażnienia przy zapaleniu, wtedy podrażnienie to, za pośrednictwem odruchu na nerwy serca, warunkuje przyspieszenie działalności tego ostatniego organu (częste uderzanie tętna i gorączkę). Im osoba jest drażliwszą, tem łatwiej do zapalenia przyłącza się gorączka.

Dokładne rozpoznanie zapaleń organów wewnętrznych, niedostępnych dla oka, jest w wielu wypadkach zupełnie niemożebne dla lekarza; w innych zaś, przeciwnie, jest możebne, przy naukowej znajomości zmian fizycznych, jakim podlega organ zapalony, dochodzonych za pomocą badania fizycznego (zwłaszcza przez opukiwanie i osłuchiwanie). Dla tego też homeopaci, w większej części wypadków, nie są wstanie udzielić należytych wskazówek o chorobie.

Wyleczenie zapaleń, szczególniej organów wewnętrznych, odbywa się najczęściej li tylko za pomocą sił przyrody, i wyleczenie to, zależy już od tego, że nagromadzona i zatamowana w rozszerzonych naczyniach włoskowatych krew, zaczyna znów swobodnie krążyć, już też od wyssania lub wydalenia z ciała wysiąku. Zaiste, materyje wysiąkowe mogą także pozostać w częściach zapalonych, i zmieniając się w różny sposób, wywoływać zjawiska, zazwyczaj nazywane skutkami zapaleń i przynoszące nierzadko szkodę, lub pożytek naszemu ciału.

Przy zapaleniach, zwłaszcza przystępnych do działania organów zewnętrznych i wewnętrznych, lekarz może okazać często wpływ dobroczynny, stosując środki służące do wypróżnienia oraz zwężenia, przepełnionych krwią i rozszerzonych naczyń włoskowatych. Używane przez niego w tym celu środki, bywają stosownie do długotrwałości i miejsca zapalenia, tak różnorodne, że nie podobna wyliczyć ich tutaj wszystkich; nadmienimy jedynie, że najlepszym środkiem, szczególniej do usunięcia i prędkiej przemiany wysiąku, jest ciepło (w postaci wilgotno-ciepłych okładów i picia gorącej wody). Homeopata, nie raz może zaszkodzić przy zapaleniach, przez to, że zamiast niewątpliwie skutecznych środków alopatycznych, używa on swych zupełnie nieprzydatnych lekarstw. Zresztą, całkiem inne wymaganem bywa leczenie zapaleń w wypadku, kiedy wysiąk już nastąpił, a wskutek tego minęło przepełnienie krwi w naczyniach włoskowatych. Wtedy, należy starać się nie o usunięcie nienaturalnego nagromadzenia się krwi, lecz o wydalenie wysiąku lub uczynienie go nieszkodliwym.

d. c. n.

Fałszywa tradycyja czy prawda naukowa w podręcznikach historyi?

napisał

Ernest Świeżawski.

Scharakteryzował ten stan rzeczy dosadnie Szujski (Dzieje Polski I, str. 32). „W obec tego *zamętu* sprawionego *mimowolnie* przez wielkie erudycyje i głębokie rozumy, *niepodobna* wyprowadzić *jakich takich* pewników faktycznych,“ to też „nie można się obronić od przekonania, że dotąd *mało* na tem polu (historyjografii początkowych dziejów mianowicie) *rzetelnych* mamy zdobyczy!“

Dobrze też taki stan rzeczy zrozumiał F. H. Lewestam, gdy pisał w kalendarzu Ungra na rok 1867 czy 1868, o krytyce, i domagał się onej szczególnie surowej dla luminarzy, dla specyjalistów, dla powag, tak łacnie gloryją swego imienia błędy własne zasłaniających *). Dla ukształceńszej publiki, dla szerszego jej koła, każdy niemal człowiek piszący historyją lub inne „dzieło cięższe“ jest powagą. Dla wielu Dumas jest *źródłem* historyi francuzkiej, Walter Scott szkockiej i angielskiej i innych, Bernatowicz, Rzewuski, Bronikowski i i. polskiej. Cóż więc dopiero mówić o specyjalistach historykach, o nauczycielach dziejów?

Z powodu tego zamętu, mógłby kto nam zarzucić, że słusznie pochwalono Bulińskiego i T. Morawskiego pracę, i uznano ją za użyteczną dla ogółu. Rzeczy on bowiem spornych w obecnej historyjografii nie potrąca, trzyma się dawnej teoryi kompromisów między źródłami które są różnej wielce natury, ale spólnie „świadectwami“ są znane bez względu na to, czy to jest spółczesny czy późniejszy świadek. Obu kategoryi trzeba słuchać, i z obu wziąć nie tylko spólne ale i uzupełniające, bo Miechowita Długosz, Kromer, Sarnicki i i. mogli rzecz lepiej rozumieć jak Gallus. Poglądy XV i XVI wieku bliższe są naszych jak z XI i XII wieku, łatwiej na pierwsze jak drugie się godzić.....

W ten sposób jednak pisząc dzieje, unika się wprawdzie wątpliwości nowoczesnych, błędów spółczesnych, ale nie mamy też żadnego środka obrony przeciw dawnym. Być samemu superarbitrem tylu różnoczesnych świadków, jest rzeczą wielce trudną, zamyka się przez to nawet sobie drogę do poznania rzeczywistej prawdy, bo z konieczności trzeba w takim kompromisarskim sądzie radzić się własnego poczucia prawdy, własnego nieraz uprzedzenia.

Objektywna wartość źródła znika; występuje na jaw subjektywne widzenie rzeczy badacza; mamy dzieje Polski *wyrozumiane przez* X. Y. Z. ale nie mamy dziejów tych spisanych ze źródeł krytycznych. W jednej pracy monarchizm, w innej demokracyja, w trzeciej oligarchija jest broniona z pomocą nieszczęśliwie torturowanych źródeł; tu występuje wolteryjanin, materyjalista, tam ultramontanin, protestant, ortodoks, sceptyk bezwzględny, ten jest zwolennikiem wszech potęgi Słowian, ów ich uważa za niemowlęta wiekuiste, za pokorną trzodę obcych nauczycieli. Niemyślmy jednak, by to dopiero w wieku XVIII, XIX miało miejsce w historyjografii naszej; i dziejopisowi wieków poprzednich są ludźmi żywemi, są statystami. Gallus nie jest tylko panegerystą Krzywoustego, nie jest tylko wolnomyślnym „skrybą ignoti nomini, włóką“ (wywłoką) jak chce ks. bp. Łętowski, jest on zwolennikiem jednowładztwa. Długosz jest ultramontanem, jak jego opiekun Zbigniew Oleśnicki. Mateusz Cholewa jest oligarchą........... Każden wiek późniejszy nowe piętno kładzie na źródło dziejowe, nowe tem samem rodzi

*) Daty kalendarza niepodaję ściślej, bo powyższe szczegóły czerpię ze swej rozprawki o błędach płynących z subjektywnością naszej historyjografii, pisanej między lipcem 1867 a lipcem 1868 r., i kalendarz ów jako z „roku bieżącego“ wspominającej.

trudności dla badacza, zmusza go do oryjentowania się w atmosferze (monde ambiant) badanego źródła, zanim do przejętych nią szczegółów zstąpi.

Unikając więc Scylli nowożytnej, wpaść możemy w charybdę dawniejszą, o czem tym mniej będziem wiedzieli, że, metoda kompromisarska zawiąże nam oczy na wpływ własnych dzisiejszych mniemań i uczuć, na sąd nasz; nie zobaczymy nawet, jak gwoli teoryi jakiejś wejdziem w układy z faktami, z prawdą objektywną. W dobrej wierze, będziemy fałszować dzieje. Są to niebezpieczeństwa metody Naruszewicza, Bulińskiego, T. Morawskiego.

Natomiast też inna metoda przedstawiania dziejów się nastręcza w tymże samym Naruszewiczu. Tekst opowiada dzieje wedle tradycyjnego wątku. Noty często cały tekst burzą, nic z niego nie zostawiają, prócz znaku zapytania. Jestto kompromis także, ale w formie *niemal że* zaleconej przez recenzenta dziejów kościoła, Bulińskiego. Tekst tradycyjny Naruszewicza, to podręcznik ks. Melchijora; noty krytyczne ks. biskupa Adama, to wiadomości specyjalistów. Dla ogółu wykształceńszego wystarcza powaga augura rzymskiego w kwestyi żeru kur świętych; — dla koła zaufanych..... pieczyste albo rosół z niedawnych prorokiń, i śmiech z głupoty prostaczków i własnej w ich obliczu powagi. Albo też, biorąc rzecz niby z poważniejszej strony: wątpliwości dla umiejących je pokonać, pewność dla zdolnych w błąd popaść. Dla ogółu dajmy wiarę; my sobie zostawmy krytykę, sceptycyzm, onych rezultaty. I zaraz w pomoc przyzywamy mądrość narodów ukrytą w przysłowiach: niepal ognia (światła) w domu niepoświęconego, mówią Asasyni; niemów o stryczku w domu powieszonego, twierdzą francuzi; nareszcie przychodzi stanowczy argument w naszem i skandynawskiem przysłowiu: brzydki to ptak co własne gniazdo kala.

Z pomiędzy bowiem licznych kompromisów przez naukę dziejów z życiem zawartych pierwsze miejsce zajmuje układ określony ostatniem przysłowiem, które w indywidualniejszem zastosowaniu bierze na się postać „o zmarłych nic lub *dobrze*,“ czyli przeszłość można tylko chwalić, ale nigdy ganić. Lepiej zamilczeć. Byłoby niezmiernie dużo do powiedzenia w tej materyi. Wolę jednak odesłać ciekawych czytelników do wstępu, który napisał Kalinka do *ostatnich lat panowania Stanisława Augusta*. Pisał go człowiek chyba wolny od zarzutu pewnej stronniczości. Jemu nie bronią twierdzić, że prawda choćby bolesna nie tylko w opowieści dziejów, ale jej poznanie przez ogół jest rzeczą konieczną. On jak Bartoszewicz, ów ideał historyka (Encykl. Kościelna II 33), nie ściągnie na się żadnego zarzutu, choć powiedział w inny sposób toż samo co ś. p. Julijan, że „historyja jest nauką prawdy przedewszystkiem i pragnie dojść prawdy; dla historyka tedy prawda choćby najbrzydsza, lepsza jak najśliczniejszy ideał:“ A snać Bartoszewicz nie uważał, żeby należało ją kryć przed ogółem, gdy tyle bolesnych prawd napodawał w Encyklopedyi Orgelbranda większej, przeznaczonej dla ogółu. Tę prawdę wykrywał przez studyjowanie nowych źródeł, i to też wyrzekł bez ogródki, że „w nauce każdej, każde zacne badanie przynosi nowości, trzeba ich tylko szukać.“ — Dużo też nowości jego pióra w Encyklopedyi!

Nie będę więc mówił o konieczności poznania prawdy dziejowej przez ogół, o potrzebie wprowadzania nowych zdobyczy nauki do skarbca wiedzy ogółu, bo widzę to lepiej powiedziane przez Kalinkę, Bartoszewicza, oraz przez nich i Szajnochę, owego popularyzatora dziejów wykonywane. Podniosę raczej możliwy zarzut przeciw głoszeniu nowości, który jednak wychodzi na korzyść naszego założenia, po bliższej uwadze.

Powiedzą nam mianowicie, że niepodobna pogodzić żądania, aby ogół zapoznawać z najświeższemi zdobyczami nauki dziejowej, z faktami zamętu, jaki powyżej scharakteryzowałem. Jeżeli np. niepodobna nic pewnego otrzymać z dotychczasowych badań nad początkową naszą historyją, jakżeż je można wprowadzać do podręczników popularnych? Jeżeli prawdą jest, co Roman Pilot opowiada w swej *Literaturze politycznej* sejmu czteroletniego o Niemcewiczu, że prace jego historyczne były właściwie pamfletami, były tezami i teoryjami przez chwilę spółczesną wywołanemi, a bronionemi coûte que coûte z pomocą dziejów — jeżeli niemyli się Ostrowski, wskazując chronologiczny (i moralny) związek między pracami Lelewela: *O upadku Bolesława Śmiałego* i *Utraconem obywatelstwie kmieci*, a wypadkami galic. 1846, które je urzeczywistniały — jeżeli nie jest uprzedzeniem uwaga, że przecenienie siły pierwiastku ludowego przez Czarnockiego (Chodakowskiego) i przez całą jego koteryją naukową, przyczyniło się do owej katastrofy, i sprowadziło reakcyją, po 1846 r. z której powodami nie tai się np. Ryszard Berwiński w *Studyjach nad gusłami*, i w ogóle, jeżeli tyle mamy przykładów wpływu na życie fałszywie dokonanych badań naukowych, jakżeż można, spytacie, dalej narażać się na takież wypadki, i nowości włączać w podręczniki? Na to jest krótka odpowiedź.

Historyja jest nauczycielką życia, jak to już starożytni wiedzieli. W opowiadaniu przeszłości powinna się odbić całkowita postać narodu, całe jego życie. Tym sposobem chwila obecna mieć będzie obok siebie swą rodzicielkę w złem i dobrem; każde drgnienie swego serca lub umysłu będzie rozumieć i oceniać, bo jego pochodzenie nie jest w tym razie teraźniejszości ukryte. Stojąc na gruncie rzeczywistości, na gruncie faktów spełnionych, ludzkość będzie mogła chcieć bardzo wiele, spodziewać się jeszcze więcej, ale każden czyn gwoli nauce dziejów zastosuje do czasu, miejsca, zasobów, otoczenia i t. d. Znając wagę każdego słowa z przeszłości, użyje je tylko wtedy, gdy je zdoła poprzeć czynem; odda się tylko temu uczuciu, które przyszłości nie zniszczy, które owszem ją zbuduje. Historyja odźwierciedla przeszłość, wyjaśnia co nastąpić może, gdy taki będzie początek, i w tym względzie uczy żyć.

Lecz chcąc mieć z niej taki użytek, trzeba stosować do jej poznania metodę nauk ścisłych. Faktów rzeczywistych, doświadczenia jak najwięcej; domysłów jak najmniej. Ciężko ostatnich jest się ustrzedz; młodzi czy starsi historycy chorują na tę słabość, która niemal jest nieuniknioną. Jest jednak na nią środek, w przekładach cytowanych wpływu fałszywych teoryi na życie czerpmy doświadczenie smutne, jak należy być ostrożnym w hipotezach naszych, które przenikają do ogółu, choć są nieraz *w pracy specyjalnej* pomieszczone, choć nieraz nie przeszły do podręczników. Nieczyńmy przeszłości służebnicą naszych namiętności, nie każmy jej tego mówić ogółowi, co ścisła nauka zabrania popełniać w imię swych zasad specyjalnych, umiejętnych. Fałszu prawdziwe dzieje nieuczą, lecz owszem obok fałszu stawiają jego karę. Fałsz też naukowy krwawy posiew zbiera jeśli w życiu jest stosowany, jakieśmy to widzieli, i jak przekonać się łatwo z porównania teoryj historyjograficznych z życiem, gdy pierwsze są odbiciem nie nauki, a mają kierować drugiem.

Gdyby twórcy hipotez dziejowych, a zarazem klęsk wielu życiowych, trzymali się byli w swej opowieści faktów prawdziwych, żadna by na nich teraz wina nie ciążyła. Gdyby podali rzeczywistą prawdę, spełniliby swe zadanie dziejopisa. Ogół sam by odpowiadał za niespożytkowanie nauk przeszłości.

Nie mieli tych źródeł, które odkryto obecnie, powiecie; w braku faktów pośrednich, musieli hipotezą łączyć odległe zjawiska. Nie jest to wina badaczy że zbłądzili skutkiem braku źródeł. Taka będzie ich obrona z waszej strony.

Gdy tak się rzecz ma, nie trzymajmy się dawnego tradycyjnego wątku dziejów, skoro go źródła krytyczne niweczą; wprowadzajmy prawdę do podręczników, w brew rutynie fałszywej, żebyśmy dawnemu złu niepodlegli. Skoro fałsze w świat idą, trafiają jak prawda, na grunt nieprzygotowany, i dojrzewają krwawem żniwem, czemuż prawdę, z obawy przed wątpliwemi, bo nie loicznemi jej skutkami, mamy ukrywać? Byłożby lepiej dozwalać społeczności przepadać dla tradycyjnego fałszu, gdy praktyka nic jeszcze niedowiodła przeciw wartości prawdy życiowej, a owszem teoryja popiera szerzenie prawdy, i wykazuje jej praktyczną doniosłość?

Dla czego skoro w elementarnej już nauce chodzi nam o wpojenie w umysł dziecka prawdziwych zasad religii, moralności, języka, nauk przyrodzonych, matematyki, i t. d. wyjątek mamy czynić w historyi? Dla czego nauczycielka życia, ma mieć sama jedna tak sromotne przeznaczenie, by już dziecko za jej sprawą wchodziło w świat, wyzute z tego, z czem je nawet życie niezawsze rozdzielić potrafi? Czemu tylko dzieje mają wykładać fałsz, psuć zasady innych nauk; same jedne zamiast dążyć do prawdy, do wpojenia jej potrzeby w życiu, mają być nauką wyjątkową?......

Z fałszu, dobro się nierodzi; tylko Witelijuszowi złoto pachniało, bez względu na miejsce skąd pochodziło. Tylko w poezyi, tylko w dziele umysłu nieprzytomnego może zjawić się dewiza, że lew może być lisem bez szwanku dla siebie, że można bezkarnie dla czystych celów, brudnego środka użyć, w błocie-cnoty szukać.

Życie tej teoryi poetycznej ciągle i zwycięzko przeczy.

3 Maja 1875 r.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ LIX.

Sombrero.

Nasze konie pospuszczały smutno głowy, moczone deszczem, trapione ze znużenia i głodu.

Pochód ranny podczas gorąca i kurzu a następnie długi i uciążliwy galop wyczerpał ich siły zupełnie.

Ludzie także byli znużeni. Niektórzy trzymając uzdy w rękach stali oparci o skałę—inni pospali się oparci o ścianę.

Co do mnie nie miałem do snu ochoty, nie szukałem nawet schronienia przed burzą, i stojąc na otwartem miejscu — oblewany byłem wodą jak z cebra.

Była to iście północna ulewa, ale w tej chwili ani ulewa, ani wiatr, ani gorący *sirocco* nie potrafiłby zrobić na mnie najmniejszego wrażenia. Stałem się nie czułym na cierpienia fizyczne, owszem przyjąłbym je nawet z przyjemnością bo pojmuję doskonale tę prawdę iż klin się klinem wybija.

Cierpienie fizyczne zneutralizowałoby napewno cierpienie duszy — ale ulewa i zimno nie były dla mnie dokuczliwemi w tej chwili— owszem nękały mnie moralnie tylko bo przerwały poszukiwania a jeżeli deszcz potrwa długo ślady konia białego zaginą zupełnie.

Stałem w milczeniu oparty o dzielnego Mora który jak liść drżał z zimna.

Pogrążony w smutnych myślach mało zwracałem uwagi na to co się działo do koła, gdy w tem szelest jakiś wyrwał mnie z odrętwienia...

Z kilku słów doszłych do moich uszu domyśliłem się że przynajmniej dwu z moich towarzyszy nie dało się pokonać znużeniu i zniechęceniu, rozmawiali bowiem wesoło. a byli to jak mi łatwo poznać ich przyszło starzy kamraci — traperzy.

Przyzwyczajeni do walk ciężkich, zaprawni w nieustannych bojach z ludźmi i naturą samą, ci dzielni ludzie nie myśleli się poddać dopóki nie wyczerpali wszelkich środków ludzkiego przemysłu.

Z ich rozmowy zmiarkowałem, że nie wyrzekli się jeszcze nadziei natrafienia na ślad, że owszem przemyślali nad nowym planem odnalezienia go i dojścia do celu.

Nabrałem otuchy i zwróciłem się ku nim aby się trochę lepiej przysłuchać.

Rozmawiali po cichu a teraz przemawiał Garej.

— Może że ty masz racyję mój stary, rzekł do Ruba. Koń musiał pójść tamtędy a w takim razie dojdziemy znowu do śladu. Jeżeli dobrze pamiętam dokoła stawu jest błoto, zresztą możemy sprawdzić to łatwo ze światłem nakrywszy go sombrerem Holandczyka.

— Tak — tak — odpowiedział Rube przeciągle, a jeżelim nie źle obrachował nie będzie potrzeba ani światła ani sombrera. Spojrzyj no w tamtę stronę! — i to mówiąc wskazał na obłoki. Gardło daję że za chwilę skończy się burza piekielna a wejdzie księżyc jasny jak nigdy. Zobaczysz że tak będzie najdalej za dziesięć minut — zresztą spojrzyj no czy prawda.

— Tem ci lepiej stary mulacie, ale czyby nie zacząć poszukiwania śladu boć czas drogi niezwykle.

— Prawda! więc bierz świece i sombrero i chodźmy. Te łotry niech sobie zostaną i chrapią — przeszkadzali by nam tylko.

— Hej niemiec! zawołał Garej na Quakenbosa, pożycz no nam swego kapelusza na moment.

Głębokiem chrapaniem odpowiedział na zaczepkę botanik.

— Słyszysz przeklęty śpiochu wrzasnął Rube w złym już humorze i zniecierpliwością. Połechtaj szelmę nożem mój Billu, albo pogłaskaj go po bokach rękojeścią twojej spieruty! Nic nie pomaga... Kopnij że go bestyję nogą w brzuch albo szarpnij go silnie, niech się podniesie albo niech go dyjabli porwą!..

I Garej krzyczał:

— No niemiec, no czworograniasta głowo i przybliżył się do śpiącego i począł go targać za ramię. — Słyszysz potrzebuję twojego sombrero...

— Hola ho! — trzymaj się spokojnie — zróci mnie waryjat na ziemię — niepodobna dać mi sobie rady, ostrogi zaplątały mi się pod spodem, — hola ho! zatrzymaj się!..

Na te osobliwe jakieś słowa Rube i Garej parsknęli śmiechem i zbudzili resztę śpiących. Quakenbos spał jednak ciągle i śniło mu się że jak kiedyś walczy z dzikim koniem indyjanina.

— Przeklęta ośla głowo, krzyknął Rube uspokoiwszy się po śmiechu. Zostawcie go niech sobie marzy kiedy tak mu się to podoba, zdejmcie mu tylko kapelusz ze łba boć nie o niego nam samego idzie.

Czuć było złosliwości trochę w tych słowach, Rube bowiem miał jeszcze urazę do dzielnego szeregowca za sztywność z jaką spełniał rolę swoję na posterunku.

Garej posłuchał rady — zaprzestał rozbudzać śpiocha, zabrał mu tylko kapelusz a zaopatrzywszy się w świece oddalił się z Rubem razem nie mówiąc więcej ani słowa.

Chociaż bardzo zadowolniony z tego co posłyszałem nie odezwałem się przecież — a kilku z żołnierzy którzy ich zapytywali co myślą robić i gdzie się udają otrzymali nic nie znaczące odpowiedzi.

Znając usposobienia obydwu wiedziałem iż pragną aby ich samym sobie zostawić, znając energiję wiedziałem że dokładnie wykonają projekt jaki im przyszedł do głowy.

Opuszczając nas oddalili się od skały w prostej linii, ale nie umiem powiedzieć jak długo szli w tym kierunku, zwłaszcza że zapalili świece i po pięciu albo sześciu krokach zniknęli zupełnie w ciemności.

ROZDZIAŁ LX.

Ślad odnaleziony.

Pomyślawszy chwilę nad tem, jaki mógł być projekt traperów, powstali i pokładli się na nowo, tak bowiem byli zmęczeni że zimno nawet nie było ich władne rozbudzić.

Milczenie zostało wkrótce przerwane bo Quakenbos się ocknął. Deszcz lejący na pół nagą czaszkę zrobił galopem to czego szarpanie Gareja pokonać nie było wstanie.

— Hola a gdzież mój kapelusz, zapytał ze złością, podnosząc się i macając rękami do koła — gdzież mój kapelusz, powiedzcie mi czyście nie widzieli go czasami?

Te wołania ponownie obudziły śpiących — z których jeden zapytał.

— Jaki kapelusz przeklęty łbie czworograniasty?

— Kapelusz czarny? nie, nie widziałem kapelusza tego koloru.

— Przeklęty z ciebie niemiec, jakże chcesz ażeby zobaczyć czarny kapelusz podczas takiej ciemnej nocy. Białego byś nie dopatrzył nawet... Idź oto i połóż się na nowo.

— No — no — moi panowie ja tam nie potrzebuję waszych żartów, ja się o mój kapelusz pytam. Powiedzcie który go wziął?..

— Czyś pewny że to był kapelusz czarny, zapytał głos jakiś..

— Wiatr go porwał najprędzej.

— A powiedz no panie Quakenbos wtrącił kanadyjczyk w swym angielsko-francuskim żargonie — to to twój ogromny kapelusz zginął?.. doprawdy?.. wilki go pewno zabrały a może już i zjadły dotąd.

— Daj mi pokój ze swoją przeklętą paplaniną bałwanie, tylko oddawaj kapelusz jeżeliś mi go zabrał.

— Ja wziąłem twoje pudło?.. Nie panie Quakenbos nie wziąłem go — słowo honoru!

— A czy ty go nie znalazłeś Stanfield, zapytał Quakenbos mieszkańca lasów Kentucky.

— Cóż bym ja u dyjabła robił z twoim kapeluszem? mam swój własny i ten mi wystarcza.

— No a ty Billu Black?

— Nie, odrzekł zagadnięty, mam tylko swój własny, a nie był on nigdy czarnym chyba w taką noc jak dzisiejsza.

— Ja ci to wytłomaczę rzecz całą mój poczciwy Quakenbosie — odezwał się ktoś znowu. Kapelusz zgubiłeś przed chwilą gdyś dosiadał dzielnego mustanga.

Ogólny śmiech wtórował tym ciągłym żartom, a Quakenbos tymczasem gniewał się i dopytywał, a gdy się nic nie mógł dowiedzieć począł po omacku poszukiwania na wszystkie strony...

Co do mnie małom zwracał uwagi na wesoły humor drużyny. Wlepiłem oczy w punkt wyjaśniony nieba, który Rube wskazywał był Garejowi i serce radowało mi się gdym widział że wzrasta on i staje się co chwila jaśniejszym.

Deszcz padał jeszcze ciągle, ale chmury się przerzedzały i jeżeli pójdzie tak dalej za kilka minut jak Rube przepowiedział, niebo się wyjaśni i księżyc w całym się swoim blasku ukaże.

Pożądane były to rzeczy. Od czasu do czasu spoglądałem po stepie chcąc się czegoś dowiedzieć o moich przyjaciołach, albo przynajmniej posłyszeć odgłos zbliżających się ich kroków, ale nic słychać nie było.

Zacząłem się na dobre niecierpliwić, gdy w tem ujrzałem zdala na stepie promień światła który zgasł wprawdzie zaraz ale w chwilę potem w tem samem prawie miejscu ukazał się na nowo i błyszczał jak gwiazdka samotna.

Przez kilka sekund gwiazdka ta pozostawała nieruchomo na miejscu, potem zaczęła się poruszać jak gdyby ją ktoś pochylił nad ziemię.

To odosobnione światełko nie miało w sobie nic tajemniczego, i Quakenbos tylko jeden nie wiedział co o niem trzymać. Co do towarzyszów jego ci ponieważ przebudzili się w chwili gdy się Rube z Garejem oddalał, poznali łatwo pochodnię.

Światło zdawało się zbliżać i oddalać, zdawało się rysować rozmaite jakieś koła i gzygzaki.

Mogliśmy rozróżnić pas wody leżący pomiędzy nami i światełkiem owem, mogliśmy się domyślać że był to staw lub przynajmniej kawał stepu kompletnie zalany wodą. Po kilku nareszcie ruchach światło stanęło w miejscu i przenikliwy okrzyk doleciał do naszych uszu. Poznaliśmy ten wykrzyknik, bo zwykł go był stary Rube używać! a jednocześnie zauważyliśmy że światło zaczęło się poruszać na nowo z szybkością jak gdyby je kto niósł prosto przez łąkę.

Śledziliśmy je oczami z największem zajęciem, poruszało się i oddalało coraz bardziej, moi towarzysze zapewniali że strzelcy ślad odszukali.

I rzeczywiście potwierdził to wkrótce Garej, zbliżając się ku nam. Jego wysoka postać rysowała się na mgle wyraźnie, a chociaż rysów twarzy nie można było zauważyć w ciemności, odgadliśmy że przynosi jak najlepsze wieści.

Nakoniec — odezwał się gdy już podszedł blisko.

— Kapitanie!—Rube ślad wywąchał i idzie ciągle za nim. Śpieszmy bo zniknie nam z oczu jeżeli marudzić będziemy.

Natychmiast skoczyliśmy wszyscy na siodła i popędziwszy za światłem, znaleźliśmy się niebawem obok Ruba, który mimo ogromnego zmęczenia postępował ciągle naprzód, przyświecając sobie świecą osłonioną kapeluszem Quakenbosa.

Na liczne zapytania nasze stary strzelec nie odpowiadał wcale, od czasu tylko do czasu wykrzykiwał jak było jego zwyczajem, widocznie dumny z tego co mu się tak prześlicznie udało.

Z Gareja ciekawi więcej byli zadowoleni, tłomaczył on im przez drogę jakim sposobem Rube doszedł do tak cudownego rezultatu, jak sobie przypomniał o zdroju przy skale, jak się domyślił że dziki rumak musi się tu zatrzymać dla ugaszenia pragnienia. Przeleciał po pokładzie kamieni otaczających skałę jedynie dla tego że to była najbliższa droga dostania się do źródła i pobiegł tędy dla tego że miejsce to jako wzniesione nieco było suchszem daleko. Wzdłuż tej drogi koń biegł wolniej więc też nie zostawił żadnych znaków po sobie, albo tak słabe że ich nie można było rozróżnić przy świetle pochodni i dlatego właśnie straciliśmy byli ślad.

Na szczęście Rube sobie przypomniał że około źródła ziemia była bagnistą a zatem kopyta końskie musiały się na niej lepiej odcisnąć. Żeby się o tem przekonać trzeba się było postarać o zabezpieczenie światła od deszczu a ogromny sombrero Quakenbosa doskonale się na to przydał bo najwyborniej zastępował parasol.

Tak jak Rube przewidywał odnalazł tropy na błotnistem brzegu wody, szybki rumak pił przy źródle ale potem puścił się dalej galopem zwróciwszy się w stronę zachodnią skały.

Wypytując Gareja, zauważyłem że znał tego zwrotu przyczynę, musiałem długo jednak nalegać zanim z widoczną odezwał się niechęcią:

— Są ślady wilków za śladami konia.

ROZDZIAŁ LXI.

Wilki na śladzie.

Nasi poszukiwacze odnaleźli ślady łap wilczych nad samym brzegiem źródła. Należały one do dwu rodzajów wilka, do wilka wielkiego z Teksasi małego wilka nazywanego „*Coyalé*" ze stepów. Składały one jednę gromadę jak o tem bardzo liczne przekonywały tropy i ztąd traperzy wpadli na domysł że polowały na konia.

Po nad łożyskiem strumienia rozciągał się brzeg pochyły, koń ugasiwszy pragnienie, dostał się nań jednym skokiem, wilki uczyniły to samo bo znać było pazury na zwilżonej glinie.

Porysowana ziemia świadczyła że pędzono co sił a nierobionoby takich wysiłków gdyby nie chodziło o schwytanie zdobyczy.

Oprócz zresztą śladów wilczych i śladów kopyt konia żadnych innych nie było — a że rumak był ściganym i to dowodziło jeszcze że często ślady wilcze zacierały ślady dzielnego rumaka.

Zadrżałem pomyślawszy o skutkn tej pogoni.

Gdyby koń biały był wolnym, prawdopodobie wilki nie goniły by tak za nim. Rumak dziki rzadko jest przedmiotem napaści, chociaż często konie stare, kaleki lub słabe źrebaki padają pod zębami tych żarłocznych myśliwców stepowych.

Tak wilk zwyczajny jak i *catoyé* obdarzone są przebiegłością lisa i instynktowo poznają zwierzę skaleczone, tak np. gonią daniela który się wymknął strzelcowi, gdy jednak odczują że postrzał jest lekki zrzekają się zdobyczy.

Instynkt to też powiedział im że biały rumak nie był kierowanym przez wolnego w poruszeniach jeźdzca, zobaczyły że tutaj coś brakuje i w nadziei że ze znużenia koń i jeździec muszą paść wcześniej czy później, zaczęły pogoń wyjąc z wściekłości i głodu.

Zresztą wiedzieliśmy o tem dobrze że liczne stada wilków znajdowały się zawsze przy skale. Strumień wabił ich ku sobie a tym razem była jeszcze jedna więcej ku temu przyczyna, liczne mianowicie trupy poległe w czasie naszej potyczki ostatniej.

Dzikie bestyje nażarły się do syta krwi ludzkiej i mięsa końskiego a to właśnie wzmogło bardziej ich apetyt nieustanny.

Było do przewidzenia że zdołają sforsować konia nieustannym biegiem, że zdołają go pochwycić chociażby dopiero po długim bezustannym galopie po trzęsawiskach i lasach...

Wtedy rzucą się nań i na nieszczęśliwą przywiązaną doń ofiarę i rozszarpią ich w kawałki.

To okropne przypuszczenie wyrywało z piersi moich głuche rozpaczliwe westchnienie.

— Patrzcie no, odezwał się Garej wskazując na ziemię i oświecając ją tak żebyśmy dobrze mogli widzieć. Koń poślizgnął się tutaj — a to znak wielkiego wilka który poskoczył w to samo miejsce.

Przypatrzyłem się tym znakom i przekonałem się jakbym to widział własnemi oczami o prawdzie słów Gareja.

Na gruncie zwilżonym deszczem były znaki innych jeszcze wilków, ale jeden z nich z pewnością wysunął się naprzód dobrym skokiem, jak gdyby zrobił wysiłek ażeby konia za bok uchwycić.

W rzeczy samej znaki kopyt wskazywały dokładnie iż dzielny biegun pośliznął się skoczywszy na mokrą trawę i że ten wypadek spowodował gwałtowny sus jego wściekłego czujnego nieprzyjaciela.

Jechaliśmy jak można było najprędzej — wszyscy moi ludzie szeregowcy i pasterze podzielali gorączkowy mój pośpiech, jak i okropność obaw które mną miotały.

Nie tak to dawno jak oddaliliśmy się od skały — kiedy czas zaczął nam sprzyjać.

Dotąd dla zabezpieczenia od deszczu trzeba było kapeluszami osłaniać świecę, teraz ostrożność ta stała się już niepotrzebną, bo burza minęła, bo ulewa ustała zupełnie i rozproszyły się chmury na niebie.

Pięć minut jeszcze a księżyc ukaże się w całym swoim blasku bo już nawet teraz promienie jego oświecały step nieco.

Nie czekaliśmy aż to nastąpi bo czas był za nadto drogi — postępowaliśmy dalej posługując się świecami.

Po pięciu minutach księżyc wysunął się wesoło z po za ciemnej zasłony, skrywał się długo i zabłysnął niezwykłym blaskiem. Pogasiliśmy świece i raźniejsi pędziliśmy dalej.

Koń dziki przelatywał już tędy a zawsze co mu sił starczyło i naciera ny zbliska przez zażartą zgraję nieprzyjaciół.

Szmer bieżącej wody doleciał nam do uszów, słychać go było w kierunku gdzie nas nowy ślad prowadził. Wkrótce przebyliśmy przestrzeń która nas odeń dzieliła i ujrzeliśmy powierzchnię błyszczącej wody do której ślad prowadził prosto.

To rzeka a przy niej wodospad wezbrany deszczem spadała gwałtownie obijając się o skałę i pokrywając ją płatami piany.

Pasterze poznali odnogę rzeki Brawo która płynie z północy a początek bierze na stepie *Llano estecado*.

Poskoczyliśmy do brzegu wprost na gwałtowne bałwany. Ślad prowadził nas do tego punktu i tutaj się kończył.

Koń widocznie rzucił się do wody.

ROZDZIAŁ LXII.

Przez rzekę.

Dumny rumak stepów rzucił się na oślep w rzekę, w miejscu gdzie najwięcej burzyła się biała piana a jego cztery kopyta odciśnięte wyraźnie na ziemi tuż nad samym brzegiem wskazywały dokładnie miejsce z którego skok nastąpił. Skok to był nadzwyczaj śmiały, widocznie rozwścieczona zgraja nacierała już wtedy bardzo blisko.

Dobry skutek tego rozpaczliwego wysiłku wydawał się wątpliwym, nieprawdopodobnym nawet.

Rzeka była szalenie bystra i wzburzona, zdawało się że musi porwać konia i człowieka niedając im pochwycić gruntu. Za zbyt też była głęboką ażeby ją w bród przejść można było. Ukazywały się wprawdzie gdzie niegdzie skały wychylające się nad powierzchnię, ale były to tylko wierzchołki skał podziemnych pomiędzy któremi tem bystrzej wody przepływały. Jeżeli koń się potknął albo był płynąć zmuszonym, porwany wirem utonął wraz z ofiarą którą na sobie unosił...

Wszyscy byliśmy tego przekonania.

Z jednych ust tylko znalazło się słowo pociechy i słowo to niby balsam niebieski spłynęło na moję skołataną duszę.

— Koń wcale nie potrzebował płynąć odezwał się Rube stary...

— A czy pewnym tego jesteś, zapytano ze wszystkich stron.

— Najzupełniej jestem zawsze pewny tego co mówię, odpowiedział Rube urażony widocznie niewiarą. Ku czemuż u starego dyjabła służą wam oczy wszystkim jak tu jesteście?.. Przypatrzcież się choć trochę. Czy widzicie kolor tej wody? W tem miejscu czarną jest jak skóra żubra, więc cóż to znaczy?.. Ja myślę że to dowód iż woda to napływowa i że przed ulewą ani jej połowy w łożysku rzeki nie było. Ponieważ koń za którym gonimy, był w tem miejscu przed burzą to znaczy że przeszedł przez rzekę tak łatwo jakby np. połknął miarkę owsa...

— Ale czy był tu w istocie przed burzą?...

— To tak niezawodne jak strzał z tego oto karabinu który trzymam w ręku.

Przypatrzcież się znakom kopyt jak płytkie, czyżby tak wyglądały na rozmiękłym gruncie?

d. c. n.

ROZMAITOŚCI.

Fakt godny zastanowienia oddawna już zwracał uwagę ciała lekarskiego w Algierze. Zauważano iż pod wpływem klimatu, suchoty płucne zmniejszały się w Algierze i znikały bez żadnego współdziałania środków leczniczych. Ważną więc było rzeczą zbadać to zjawisko, mające tak wielkie znaczenie pod względem naukowym i humanitarnym; inicyjatywa jednak prywatna nie mogła skutecznie doprowadzić do celu. Obecnie na żądanie wyższej władzy administracyjnej wykonane zostały studyja urzędowe, których rezultat jest następujący: Przekonano się, że liczba wypadków śmierci z suchot jest stosunkowo daleko mniejszą w Algierze niż w krajach europejskich; przedstawia ona mianowicie piątą część ogółu wypadków podobnych we Francyi i Anglii, zwłaszcza u osób, które już chore przybyły do Algieru i leczą się tam w początkach jej rozwoju, bez pomocy lekarskiej, jedynie przez wpływ klimatu, a nawet wtedy, gdy już choroba jest rozwiniętą, pacyjenci doznać mogą znakomitej ulgi lub odzyskać zupełnie zdrowie. Suchoty dziedziczne dają się tam leczyć radykalnie w latach dziecinnych, w późniejszym zaś wieku są co raz trudniejsze do uleczenia. Szczególnie sprzyja suchotnikom klimat nadbrzeżny Algieru. Ostateczności temperatury, zawsze szkodliwe dla zdrowia, są tam nieznane. Katary zdarzają się rzadko i prędko nikną. W razie gdy zbyt rozwinięte suchoty nie mogą już być uleczone, chorzy mają jeszcze szanse przedłużenia swego życia, jako tem świadczy nie jeden przykład zadziwiający.

* * *

— Pułapka. W gazecie Gołos znajdujemy opis następującego faktu, który się wydarzył w Jelcu.

Do budki stróża przy kolei żelaznej, zapukano około godziny 2 w nocy. W budce spał już stróż, wraz z żoną i 8-letnim synem. Stróża tego, który dawniej służył w wojsku, uważano za bogatego człowieka.

Przebudzony gospodarz budki podszedł do okna i zapytał, czego potrzeba. Stukający odrzekł, że wiezie chorą żonę, która lada chwilę ma zostać matką i usilnie prosił, aby ją przyjęto do domu, obiecując hojną zapłatę za kłopot. Starzec początkowo nie chciał się zgodzić na tę propozycyję, lecz ostatecznie uległ prośbom; chora żona przejeżdżającego weszła do mieszkania i zajęła miejsce na piecu, jęcząc coraz bardziéj. Mąż, wnosząc z jęków o grożącem niebezpieczeństwie, zaczął prosić starca, aby się z nim udał po lekarza do najbliższego miasteczka. Starzec się wymawiał, lecz uczęstowany wódką, pojechał razem z mężem.

W dziesięć minut po odjeździe starca, chora zeszła z pieca; i przy świetle palącej się lampki, stróżowa i jej syn ujrzeli barczystego chłopa o długiej brodzie. Rozbójnik odrazu zażądał pieniędzy. Przelękła kobieta powiedziała, że nie ma pieniędzy. Rozbójnik wyjął duży nóż kuchenny i oświadczył, że ją zarznie wraz z dzieckiem, jeżeli mu natychmiast nie odda pieniędzy.

Słysząc to, chłopiec rzekł, że pieniądze ojciec chowa w komorze, i oświadczył gotowość wskazania kryjówki. Rozbójnik z chłopcem wyszli z izby i przez podwórze przeszli do komórki. Matka bezwiednie poszła za nimi. Dziwnym zbiegiem okoliczności, po wejściu rozbójnika drzwi od komórki zatrzasnęły się i rozbójnik pojął, że wpadł w pułapkę. Zaczął tedy stukać i żądał, aby go wypuszczono. Kobieta zasunęła rygiel. W tedy rozbójnik zaczął się odgrażać i wołał: „odrzynam twemu synowi ucho". Straszny, przerażający krzyk dziecka zdawał się potwierdzać groźbę zbrodniarza. Matka stała jednak w zupełnem osłupieniu. „Obrzynam drugie ucho"—„ obcinam nogę"— wołał rozbójnik ochrypłym głosem. Matka nie pośpieszyła jednak na ratunek.

Nagle kobieta ta usłyszała, że zbliża się pociąg towarowy. Rzuciła się w jednej chwili do linii, wywiesiła latarnię, pociąg stanął. Rozumie się, zbrodniarza schwytano. Chłopiec miał obcięte oba uszy i nogę... Z krwotoku też w krótce umarł.

Dowiedziawszy się o okolicznościach tego dramatu, służba pociągu postanowiła schwytać i drugiego zbrodniarza. W tym celu odsunięto pociąg, aby nie wzbudził podejrzeń i przygotowano zasadzkę. Nie długo wypadło oczekiwać. Rozbójnik powrócił, ale sam. Stróż zginął i ciała nawet jego odszukać nie było można.

Rozumie się, że i ten człowiek, który przywiózł mniemaną chorą żonę do budki stróża, został schwytany i wraz ze swym towarzyszem odstawiony do więzienia.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Мая (8 Іюня) 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.